Zet

sztuka kultura sprawy społeczne

ROK V NR. 3 (95) — DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA — CENA 50 GR.

WARSZAWA, DNIA 1 MAJA 1936 R.

O Ciało Kierownicze

Dzikie, bezmyślne rewolty. Krew na ulicach Krakowa, Częstochowy, Lwowa, Chrzanowa. Wybuchy niszczycielskiego szału, bandycki rabunek sklepów, nibyto w imię ideałów świata pracy. Nienawistne masakry *polskich* policjantów, demolowanie *polskich* urzędów, *polskich* skrzynek pocztowych. Po bolszewicku ściśnięty kułak zademonstrowany na ulicach tego samego Lwowa, który kilkanaście lat temu dał dowód heroicznego patrjotyzmu.

CO TO MA ZNACZYĆ? — pytają Polacy samych siebie. Opinja publiczna jest zaskoczona, władze również budzą się ze snu „państwowotwórczego" z przykrem poczuciem niespodzianki. Okazuje się, że pod gładko ufryzowaną powierzchnią przewalają się z głuchym rykiem siły irracjonalnie destrukcyjne. Pisma zagraniczne drukują artykuły o groźnem przesileniu w Polsce, o niebezpiecznym kryzysie duchowym, któremu przygląda się z niepokojem cała Europa. Istotnie, nie są to przejawy niezadowolenia socjalnego, powstałego na tle rozstroju ekonomicznego, nędzy, bezrobocia, czy wyzysku jednych przez drugich. W Polsce, wbrew deklamacjom papug marksowskich, miejsca na rewolucję socjalną niema: niemal wszyscy znajdują się na równym poziomie pauperyzacji, ubogim jest nietylko chłop, robotnik, pracownik umysłowy, ale i kupiec, mieszczanin, urzędnik, właściciel ziemski, nawpół już zbankrutowany a zadłużony po uszy. Niema tych różnic między „górą" opływającą w dostatek a „dołami" wydziedziczonemi, jakie obserwujemy w Stanach Zjednoczonych, na Zachodzie, czy nawet w Rosji sowieckiej. Przemysł i wogóle przedsiębiorczość prywatna zduszona jest przez podatki, ubezpieczalnię, biurokrację, etatyzm. Ochrona interesów pracownika i system ubezpieczeń społecznych rozbudowany jest tak, jak w żadnym innym kraju chyba na ziemi. Stopień kapitalizacji jest przerażająco niski, gdzież więc ta „hydra kapitału", którą jakoby ma zwalczać robotnik. Nastroje ogółu są u nas takie, że kto ma w Polsce pieniądze, czuje się odrazu jak na ławie oskarżonych. Jeżeli zaś prosperuje u nas kapitał zagraniczny, to dlatego, że zamało mamy własnych oszczędności i kapitałów, panuje więc *głód pieniądza*, któryby mógł stworzyć warsztaty produkcji i zatrudnić armję bezrobotnych, zasilaną wciąż dopływem z przeludnionej wsi, obciążonej miljonową rzeszą bezrolnych.

W Polsce rewolucja społeczna byłaby oczywistym nonsensem. Skąd tedy biorą się te siły niszczycielskie, nagromadzone w dołach? Oto stąd że: 1) Polska, jako całość jest biedna i gospodarczo zacofana, 2) przedsiębiorczość prywatna, zdolna zatrudnić głodne masy, jest utrącana i ubezwładniona przez papierowy, biurokratyczny etatyzm, 3) społeczeństwo jest rozbite, zdemoralizowane, histerycznie rozjątrzone przeciwko regimowi, bo odsunięte od wszelkiego wpływu na losy państwa, 4) „góra" społeczna, owa „elita" rozrośnięta w bezduszne pasorzytnicze kliki, jest sama najbardziej dotknięta gangreną duchową i zamiast tchnąć w społeczeństwo żywą myśl i twórczy idealizm, robi wszystko, żeby w oczach mas tę Polskę, od stu lat wytęsknioną, ośmieszyć, zohydzić i skompromitować.

Ryba psuje się od głowy. Ten zły posiew, którego owoce oglądamy dziś na skrwawionych brukach polskich miast, szedł z tej warstwy, która powinna być mózgiem i sercem Polski odrodzonej, a stała się jej przekleństwem. Sitwa zblazowanych, przeżartych cynizmem, snobizujących się na czerwono literatów, dziennikarzy, intelektualistów i bankietowych dygnitarzy, któraby oddała całą Polskę za jeden dobry kawał, a która znienawidziła wszystko, co ma związek z wysiłkiem umysłowym i z dyscypliną etyczną, ogłupiła i znihilizowała najpierw inteligencję, potem młodzież, aż wreszcie zaczęła ogarniać wytworzoną przez siebie atmosferą i szersze masy. Rosnąca przestępczość, fala seksualnej insanity, powstawanie niezliczonych pisemek komunizujących a przynajmniej radykalizujących, zwłaszcza na terenie „młodzieżowym", nie dały na siebie czekać.

Na tak przygotowanym gruncie znalazły żer siły obce, świadome swoich celów. Szerzące się dziś u nas hasło Frontu Ludowego, wynalezione zostało — jak wiadomo — na VII kongresie Kominternu. Gangsterski sojusz masonerji światowej z komunizmem zaktywizował ruch rewolucyjny na terenie Hiszpanji, Francji, a ostatnio i Polski. Powiedzmy to wyraźnie: Centrala ostatnich wydarzeń we Lwowie, Krakowie i t. d. znajduje się na Kremlu i polskie jaczejki masońsko-komunistyczne, zarówno jak polscy robotnicy, strzelający do policji, są tylko marjonetkami w rękach agentur obcych, które gwiżdżą sobie na los Polski, na bezrobocie i nędzę polskich mas, prą zaś za wszelką cenę do potrzebnych im w ich taktyce międzynarodowej rozgrywek.

W ten sposób Polska wciągana jest krok za krokiem, mimo swej woli, w walkę światową komunizmu i faszyzmu. Jeśli ten proces będzie szedł dalej, to nietylko walor mocarstwowy i charakter narodowy, lecz i sama *racja bytu* Polski, jako narodu i państwa, będzie unicestwiona. Polska istnieje poto, by zlikwidować ideowo zarówno komunizm jak faszyzm, a przez to ocalić Europę, stwarzając — na fundamentach własnej myśli filozoficznej i historjotwórczej — *nową kulturę nadrzędną.* Jeżeli my tej myśli nie wypełnimy, to nie warto nawet kłopotać się o to, czy Polska będzie, czy jej nie będzie, bo Polska bez tej misji zamieni się i tak nieodwołalnie albo w jedną z moskiewskich „czerwonych republik rad", albo w wasala politycznego i niewolnika ekonomicznego Niemiec.

Gdzie już zagnieżdża się bolszewizm, tam siłą reakcji, która jest prawem fizycznem życia społecznego, narodzi się i faszyzm, potem zaś ich walka bezwzględna, kończąca się anarchją i barbarzyństwem. Faszyzm to dalszy etap rozwojowy bolszewizacji, bo choć forma przeciwstawna, lecz treść tasama: ucisk ducha, upadek myśli, likwidacja osobowości, panowanie nienawiści i brutalnej siły. Czy tam czy tu, *człowieczeństwo* jest zgubione, a zło zwycięża.

Panowie z Frontu Ludowego myślą, że zrobią z Polski drugą Hiszpanję, widownię krwawego bandytyzmu, który się nazywa w ich języku zwycięstwem „budownictwa socjalistycznego". Palenie sklepów już było, teraz może marzy im się skolei palenie kościołów i prywatnych domów przeciwników politycznych. Najohydniejsze kłamstwo, jakie oglądał świat, wciąga już w matnię robotnika polskiego, aby własnemi rękami nieszczęśnik ten nakładał sobie więzy: głód, dyktaturę gwałtu, niewolę pracy, bezprawie kliki rządzącej, system szpiegowski, absolutny despotyzm jednostki, militaryzację życia, wogóle wszystko to, co stworzyły Sowiety.

Ale trzeba tym panom powiedzieć: W Polsce niema miejsca na rządy bolszewickich komisarzy. Od Polski i jej wielkości wara, będziemy jej bronić choćby gołemi rękami i zębami. Prócz Polski bezmyślnego biurokratyzmu, na której pasorzytuje zgangrenowana „elita", jest jeszcze **POLSKA WIECZNA**, świadoma swej odpowiedzialności dziejowej i posłannictwa, i ta się ostanie zwycięsko na pobojowisku licytujących się, a już oddawna zbankrutowanych frazesów, haseł i programów.

A teraz pod adresem żydów: Występowaliśmy tu w „Zecie" z kategorycznem potępieniem ekscesów antysemickich, bo my tu w Polsce hitleryzmu sobie nie życzymy, biologiczny rasizm uważamy za degradację człowieczeństwa, a misję Polski widzimy w tem, co jest zgodne z najszerzej pojętem dobrem ludzkości. Ale wy nam bolszewizmu na kark nie sprowadzajcie, robotnika polskiego nie agitujcie, choćby we własnym, dobrze zrozumianym interesie, bo jak zaczniecie rozpętywać irracjonalne wybuchy instynktów, to się to skrupi wkońcu na żydowskiej ulicy.

My tu dajemy dowód, że wady i zło własnego narodu dostrzegać i piętnować umiemy. Porzućcie więc i wy wasz ślepy, ultranacjonalistyczny szowinizm, wierzgający przeciw każdemu słowu krytyki. Jeżeli są wśród was ludzie rozumni i uczciwi, to niech się zrzeszą również na platformie prawdy, niech zbadają aż do dna przyczynę niedoli żydowskiej, szukając jej nie nazewnątrz, lecz we własnym narodzie, niech zaczną leczyć cały jego organizm duchowy.

Tyle o aktualnych wypadkach. Ale sięgnijmy głębiej. Nie wszystko da się wytłumaczyć nędzą mas, rozkładem „elity", działalnością agentur obcych i agitacją podżegaczy komunistycznych, z których 90% — jak wykazują komunikaty urzędowe — nosi nazwiska żydowskie. *Przyszedł czas również, aby obecny regime zrobił rachunek sumienia z samym sobą.*

Uchwalono w Polsce konstytucję, której naczelną zasadą jest poświęcenie obywatela dla państwa, gdyż państwo, odzyskane po stukilkudziesięciu latach niewoli politycznej jest wspólnem dobrem ogółu. Intencja reformatorów była słuszna. Kilkuwiekowe perypetje walk „o naprawę Rzeczypospolitej" wykazały, że w Polsce problem: jak połączyć potęgę państwa z wolnością obywateli, jest bardziej palący, niż gdziekolwiek. Polska, w swej sytuacji geopolitycznej musi być mocarstwem, wyposażonem w rząd autorytatywny; z drugiej strony psychikę plemienną Polaków cechuje indywidualizm, żądza wolności osobistej, którą można conajwyżej okiełznać lecz nigdy wykorzenić. Aby więc stworzyć wspólną platformę dla konieczności państwowych i dla polskiej natury indywidualistycznej, wymyślono zasadę nadrzędną: *dobrowolne poświęcenie dla państwa.*

Jest faktem, że przez wysunięcie tej zasady, ustrój nowej Polski zdystansował całą współczesną Europę. Lecz cóż się okazało? Gdy przyszedł *moment próby*, gdy załamanie gospodarstwa publicznego zmusiło rząd do bezwzględnego uderzenia w kieszeń społeczeństwa, hasło naczelne konstytucji spaliło na panewce: masy ani myślały poświęcać się dla państwa, protestując strajkami i krwawemi ekscesami przeciwko tym nowym ciężarom. Można tłumaczyć to tem, że zasady konstytucji kwietniowej nie zdążyły przeniknąć w dusze mas; można mówić, że społeczeństwo polskie nie dojrzało do takiej konstytucji. Ale to samo społeczeństwo wykazało już przecież nieraz patrjotyzm i ofiarność olbrzymią. Więc gdzie szukać przyczyny rozstroju?

Otóż przyczyna praktyczna jest ta, że ideały i normy podstawowe nowej konstytucji figurowały zawsze tylko na papierze, nikt im nie wierzył, bo biurokracja ani myślała stosować je w życiu. Pisaliśmy o tem już w kwietniu 1935 r. w art. „Państwo musi stać na prawdzie", wykazując, że obecny regime ma u podstawy **kłamstwo,** dwutorowość, rozbieżność słów i czynów, przez co sam sobie podcina nogi. „Doprawdy lepiej powiedzieć bez ogródek, że się tworzy państwo totalne bezwzględnej dyscypliny... niż głosić ideał wolnego, świadomego obywatelstwa, a paraliżować jego realizację przez stosowany na każdym kroku... przymus". Wistocie wszystko robiono naodwrót: dobrowolne pożyczki pod hasłem „spróbuj nie dać!", dobrowolne wybory z narzuconymi przymusowo kandydatami, wsadzanie do więzień za komunizm przy jednoczesnem subsydjowaniu „Legjonu Młodych"... przykładów możnaby mnożyć setki. To kłamstwo wynikłe z cynicznej dwutorowości rozpanoszonego, a nieodpowiedzialnego aparatu biurokratycznego, wydało owoc w postaci *powszechnej nieufności*. Rządowi, a zwłaszcza rzucanym przezeń hasłom nie wierzył nikt, wszyscy interpretowali je naopak. Ponieważ zaś ludzie uzależnieni od przemożnego państwa, żyli w istnej psychozie strachu, ratując się pochlebstwem i udaną lojalnością, więc nawierzchu wszystko wyglądało bardzo pięknie, gdy pod spodem kłębił się nurt nienawiści i plotek. Wytwarzał się tak przedział niebezpieczny między rządem a społeczeństwem. Przedział ten zamieniał się powoli w przepaść, której nie mogło już nic zapełnić. Aż wreszcie, gdy przyszedł moment próby, gdy trzeba było ratować państwo i gospodarstwo społeczne, gdy rząd musiał odwołać się do pomocy społeczeństwa, bez której niema mowy o dziele realnej i trwałej odbudowy, cała potworność tego impasu wyszła na jaw. Społeczeństwo nie istniało już, jako samorzutna, żywa siła, z którą można rozmawiać i współdziałać, bo zamieniono je oddawna w kupę rozbitych atomów, w złośliwe, obojętne i zdolne tylko do plotek koczowisko malkontentów.

„Naród polski nie był widać moralnie przygotowany do tak nagłego przestawienia zwrotnicy z toru republiki anarchicznej na tor państwa autorytatywnego. Nie zdążył on sobie wychować i wyłonić z siebie prawdziwej, dojrzałej do sprawowania władzy, elity rządzącej. Równocześnie ze wzmocnieniem przyszło i *nadużycie* władzy". („Zet", nr. 13 (85), „Czy tchórze mogą być bohaterami?").

Lecz czy wolno znowuż zwalać wszystko na biurokrację, która uniemożliwiła ciężarem swego bezwładu wprowadzenie w życie ideałów nowej konstytucji? Z pewnością nie; biurokracja czerpała ludzi z łona samegoż społeczeństwa. A zresztą była ona nieraz zmuszona do stosowania mechanicznego przymusu, bo ów legendarny „dobrowolny obywatel" nie zjawiał się, był nieuchwytny. Więc gdzież tu błąd? *Oto w tem, że wysuwając zasadę nadrzędną „poświęcenia dla państwa", nie stworzono zarazem i środowiska czy instytucji, neutralnej i zarówno nadrzędnej, któraby symbolizowała i reprezentowała tę ideję, oraz skupiała elementy twórcze i dobrej woli, tak z łona elity rządzącej, jak i samego społeczeństwa.* Od lat wołaliśmy naprózno o powołanie do życia takiej instytucji, włączonej do ustroju państwa pod mianem CIAŁA KIEROWNICZEGO. Jeżeli się bowiem chce związać ideowo w sposób nierozerwalny obywatela z państwem, to trzeba mu dać gwarancję, że jakiś zespół ludzi mądrych i uczciwych, z łona samego społeczeństwa, a mianowanych nie przez biurokrację lecz przez Prezydenta, czuwa nad czystością, trwałością i nadrzędnością imponderabiljów, w absolutnej niezależności od zmiennych konjuntur polityki i od interesów grupy w danym okresie będącej u steru. Ktoś musi stać na straży prawdy, wyrokować bezstronnie o zasłudze i poświęceniu, nie będąc zamieszanym w rządy bezpośrednie i rozpatrując wszystko *jedynie pod kątem dobra państwa i misji historycznej narodu.*

Rzecz oczywista, że mechanicznie zorganizować takiej instytucji się nie da. Byłaby ona bowiem jeszcze jednym wyrazem bezdusznego, martwego formalizmu, jaki cechuje współczesną rzeczywistość polską. Tu trzeba żywej treści, trzeba ruchu ideowego, któryby skupił wszystkich ludzi głębiej myślących i naprawdę bezinteresownych pod sztandarem posłannictwa Polski i powszechnego odrodzenia moralnego. Ponieważ główną przeszkodą do stworzenia takiego ruchu jest ciemnota intelektualna i deprawacja etyczna, trzeba postawić w Polsce na piedestale prawdę i dobro t. j. obudzić cześć dla MYŚLI i dla PRAWOŚCI moralnej. Na tych zasadach trzeba oprzeć nowy twórczy dobór najlepszych, któryby zajął miejsce dzisiejszej fałszowanej i siejącej destrukcję „elity".

Wołamy o unję samorzutną wszystkich tych, dla których Polska, twórcza osobowość ludzka i najwyższe ideały ludzkości nie są pustem słowem. Bo tylko takie zjednoczenie duchowe stworzy warunki do zorganizowania w Polsce Ciała Kierowniczego, t. j. siły konstruktywnej, zdolnej zbudować rzetelną i zgodną współpracę rządu ze społeczeństwem, narodu z państwem, lewicy z prawicą, myśli teoretycznej z konkretnym, codziennym czynem.

O polskie „imperjum środka“

(Polemika z K. L. Konińskim)

Uśmiech Sfinksa czy Opatrzność?

„Polska ma prawo i obowiązek — pisze K. L. Koniński w art. „Cesarstwo polskie“ — stać się inicjatorką i trzonem nowego imperjum, imperjum lub rzeszy o trzy morza opartej: o Bałtyk, o Morze Czarne, o Adrjatyk“. Otóż mniejsza o nazwę, wystarczy, że sama myśl jest słuszna i oczywista, jak dwa a dwa cztery. Popierwsze dlatego, że słuszna i rozumna, podrugie: bo i moja własna (patrz art. „Polska a imperjum słowiańskie“), potrzecie: bo wrońskizm, który uważam za naszą absolutną rację stanu, zapowiada konieczność powstania takiego imperjum i nawołuje do jego stworzenia (jeszcze przed ośmdziesięciu kilku laty!).

Czy są dziś warunki potemu? Niewątpliwie. Jedynym realnym wynikiem wojny światowej — z historjozoficznego punktu widzenia — było powołanie do życia tej falangi małych państw w Europie Środkowej, poczynając od Finlandji, a kończąc na Bałkanach; przyczem należy dodać, że jedynie Polska, wśród tych nowopowstałych organizmów państwowych predestynowana była, liczebnie i z tytułu swych tradycyj imperjalnych, do roli mocarstwa. Wszystkie efektywy traktatu wersalskiego biorą dziś w łeb, jeden po drugim. Ale ten olbrzymi przewrót w Europie Środkowej, spowodowany przez Wersal i St. Germain, oraz rewolucję rosyjską, jest rzeczywistością rewelacyjnie nową i pozytywną, której nie da się usunąć z mapy Europy. Za kilka lat, a może już w roku bieżącym, historjozof może zaryzykować twierdzenie, że wojna światowa była właściwie poto, żeby sprowadzić ten właśnie wynik; i z tego punktu widzenia śmierć 8 miljonów ludzi nie poszła na marne.

Wolno tedy rzec, że Opatrzność dziejowa przygotowała rozmyślnie to irracjonalne rzekomo kotłowisko małych państewek, aby mieć z nich potencjał i materjał budowlany wielkiej kreacji, która zdumieje i olśni świat swoją nagłością i wyjątkowemi przeznaczeniami. Już więc w tym jednym, opatrznościowym aspekcie, blok-rzesza-imperjum federacyjne Europy Środkowej pod przewodnictwem Polski, jako jedynego wśród niej mocarstwa, jest możliwe.

Przeznaczenie działa

Słusznie stwierdza K. L. Koniński, że choć sprawiedliwem było stworzenie tego mnóstwa suwerennych państw i państewek narodowych, to jednak rozwój wypadków zmusza do ponownych integracyj. Odczuwają też tę żelazną konieczność narody tej strefy geopolitycznej, próbując sklejać coraz to nowe kombinacje związkowe. Węgry i Austrja ciążą ku sobie, Czechosłowacja, Rumunja i Jugosławja zwierają się w Małej Entencie, Turcja, Grecja, Bułgarja, budują Ententę Bałkańską, Estonja, Łotwa, Finlandja, montują coraz to energiczniej pod patronatem Polski związek bałtycki, w którym niezbędny udział Litwy stanowi największy szkopuł. Ale nie koniec na tem. Sojusz połączył Polskę i Rumunję a romans polsko-węgierski staje się coraz gorętszy. Jednocześnie, pod grozą naporu obcych potęg, od Zachodu czy Wschodu, czy choćby tylko w imię ratowania niepodległości Austrji, rodzi się myśl o nadrzędnem powiązaniu całego obszaru naddunajskiego. Widać, że jest tu strefa nieograniczonych możliwości. Tutaj szuka Francja fundamentów swego systemu bezpieczeństwa, tu penetrują swemi wpływami Niemcy, marząc o wchłonięciu Austrji, i obszarów niemieckich Czech, a także o drodze do Rosji i na Bałkany, przyczem parcie ich idzie także na północny wschód, ku krajom bałtyckim. Tutaj marzenia niemieckie spotykają się z twardą odprawą Włoch, które, dzięki sojuszom z Austrją i Węgrami, usadowiły się już dość silnie nad Dunajem. Tędy wreszcie toruje sobie drogę Rosja sowiecka, sięgając zasięgiem swoich baz lotniczych w Czechosłowacji aż do serca Europy, a probując podporządkować celom swej polityki Rumunję i państwa bałkańskie.

Widzimy więc dziś w tej strefie rozproszenie, różnorodność kierunków i możliwości, a zarazem wzajemne przenikanie się obcych, potężnych wpływów, które naciskają tę plastyczną masę coraz natarczywiej, chcąc ją urobić po swojemu. Już samo to rozproszenie i ten obcy nacisk każe myśleć o jakimś wspólnym dachu, o zrzeszeniu się pod sztandarem jednej idei i misji kulturalnej. Póki jednak trzymała się jakotako Liga Narodów i państwa mniejsze miały szanse uciekania się pod jej skrzydła, potrzeba ta nie uwydatniała się z taką wyrazistością. Dopiero dzisiaj los nieszczęsnej Abisynji pokazał naocznie czego się może spodziewać od Ligi i wielkich mocarstw małe państwo napadnięte przez mocarnego sąsiada. Pakt Ligi i wszelkie systemy bezpieczeństwa zawiodły, a i pomoc mocarstw zainteresowanych jest iluzoryczna, jak to widzimy na przykładzie Anglji, bo wobec niezwykle skomplikowanej gry interesów światowych, los małych państw staje się objektem cynicznych przetargów na wielkim rynku.

Jest metoda w tem szaleństwie

Obecny obraz świata jest taki: Mocarstwa zachodnie, Francja i Anglja, trwające przy przestarzałych kanonach liberalno-demokratycznych, są w defenzywie. Inicjatywa przeszła w ręce potężnych państw totalnych, których cechą wspólną jest *ideokracja*. Wielkie rewolucyjne ruchy ideowo-doktrynalne, czyto narodowe (jak we Włoszech i Niemczech), czy klasowe (Rosja sowiecka) są dziś znamieniem epoki i przyszłość najbliższa zdaje się należeć do nich. Ich dynamika, furja reformatorska i rdzenny związek z kryzysem duchowym naszego czasu, nadają im zaborczość ideową, której nie sposób się oprzeć inaczej, jak przewagą militarną lub posiadaniem własnej, równie uniwersalnej idei. Otóż małe państwa Europy Środkowej, ani militarnie ani ideowo nie mogą sprostać tym energjom i walcom stalowym, które prą na nie od Zachodu i Wschodu. Są one tedy potencjalnym łupem tamtych potęg ideokratycznych, chyba, że zrzeszą się w jedno ogromne imperjum związkowe i wysuną własną ideę i własne posłannictwo, dostatecznie rozległe i konstruktywne.

Zważmy jednak: Jakież są cechy tych ruchów żywiołowych, którym Polska i Europa Środk. musi się przeciwstawić pod grozą zniszczenia lub podboju? Oto cechuje je maksymalizm, powszechność i rdzenność. Maksymalizm, bo każdy z nich ma zakrój na tysiąc lat, na jakieś apokaliptyczne millenium, mierzy istnieniem swojem nową erę historyczną, a reformować chce wszystkie dziedziny życia, stworzyć nowego człowieka i nową ludzkość na ziemi. Powszechność, bo nie ograniczają się one do swego narodu i środowiska, lecz objąć chcą wszystkie inne narody, mają zasięg planetarny. Wreszcie rdzenność, bo sięgają do dna psychiki plemiennej i genjuszu swej rasy, czy klasy socjalnej, usiłując wydobyć z niej słowo wyzwalające, *absolut*, zdolny stać się kamieniem węgielnym całej przyszłości.

Otóż imperjum związkowe Europy Środkowej jeśli ma powstać naprawdę, *musi się oprzeć również o zasadę jakąś, ideę, czy doktrynę*, musi być ogarnięte i stopione w jedność przez wielki żywiołowy ruch ideokratyczny, bardziej jeszcze od tamtych maksymalistyczny, powszechny i rdzenny. Imperjum to musi stworzyć i poddać światu plan nowej kultury, w ramach której problemy palące naszej epoki znajdą swe rozwiązanie; musi ono być zdolne do rozpostarcia swych ideałów wszędzie i do ambitnej gry o nową Europę, gry, której etapy i koleje stanowić będą wspólną historję narodów tego imperjum, a zarazem poczucie jedności duchowej, rodzące się z takiej wspólnoty przeżyć; musi ono wreszcie wróść w jakąś rdzenność wieczystą, którąby stanowiła przynajmniej trzon jego, o ile nie wszystkie człony dadzą się podciągnąć pod tę wspólnotę ograniczoną. Oczywiste, że rdzenność ta to *słowiańskość*, przynależność szczepowa 2/3 ludności tego potencjalnego imperjum.

Taki maksymalizm ideowy dostarczy Polska, w postaci swego mesjanizmu, którego system najdoskonalszy stanowi *wrońskizm*. Podstawą powszechności tej idei będzie ocalenie wszystkich wartości pozytywnych cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej przed najazdem nowego barbarzyństwa, uciskającego w równej mierze ideał humanistyczny człowieka (wolność osobista jednostki) jak ideał transcendentny Boga (religja, jako wiara w nadprzyrodzone przeznaczenia rodu ludzkiego); na platformie takiego hasła można będzie skupić koło B. P. A. (Balticum-Pontus-Adria) wszystkie twórcze, czyto postępowe czy zachowawcze, elementy Europy współczesnej, rozbitej tak fatalnie na antynomję: faszyzm — komunizm.

Gdyby koncepcja ta mogła być urzeczywistniona, możnaby powiedzieć, o całym obecnym chaosie moralno-politycznym: „jest metoda w tem szaleństwie“. Okazałoby się bowiem, że historja, wbrew pozorom przypadkowości, prowadzi ludzkość po dobrej drodze.

Fatamorgana

Wyobraźmy sobie taką oto „fatamorganę“: Pomiędzy Zachodem a Wschodem, między faszystowską Scyllą a komunistyczną Charybdą, pośrodku tej apokaliptycznej walki Goga i Magoga — którym n. b. w równej mierze patronuje „Demagog“ — powstaje strefa neutralna równowagi, rozumu i pokoju. W strefie tej ocalone zostają i przechowane dla przyszłych stuleci wielkie, konstruktywne wartości klasycznej i chrześcijańskiej Europy. I na tej żyznej glebie, z posiewu gigantycznych idej mesjanizmu Hoene-Wrońskiego, wyrasta nowa, syntetyczna a uniwersalna w swych dążnościach kultura, realizująca sprawiedliwość społeczną bez masowego morderstwa, dobrobyt bez płaskiego materjalizmu, religijność bez ciasnoty umysłowej i zacofania, autorytet władzy politycznej bez ucisku obywateli i potężny rozwój wiedzy bez tego brzydkiego minimalizmu i agnostycyzmu, jaki cechuje współczesne prądy myślowe. I kultura ta przez sam fakt swego istnienia, likwiduje barbarzyńskie erupcje współczesnych ruchów ideokratycznych, ponieważ wszystkie one wyrosły tylko z panicznych poszukiwań absolutu, *zasady nadrzędnej*, na której dałoby się oprzeć cel życia i system prawności międzynarodowej. Znając tę zasadę, ten absolutny ideał i kryterjum postępu, nowa ta kultura wykreśla z łatwością więź ideową i strukturę organizacyjną nowej federalności światowej, w miejsce zbankrutowanej Ligi Narodów. Skoro wielkie mocarstwa Zachodu, naskutek swej pychy, egoizmu i zmaterjalizowania nie potrafiły dać ludzkości pokoju i ładu moralnego, wychodzą na arenę małe narody i złączone hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi“, zapłodnione myślą polską, budują tę upragnioną gwarancję sprawiedliwości i wzajemnego zrozumienia.

Od przeznaczenia do posłannictwa

Wśród tylu potęg Europy, Polska jest mocarstwem jedynem, którego powstanie nikomu nie zagraża, a staje się warownią ładu i obroną państw słabszych, ich naturalnym sojusznikiem. Polska była zawsze przedmurzem Europy, skądkolwiek szedł najazd barbarzyństwa, czy niebezpieczny przewrót.

Broniła Polska Europy i jej wartości nieśmiertelnych to przed hordami Mongołów, to przed Islamem, to przed potopem szwedzkim, niosącym protestantyzm na ostrzu stalowego rapiera, to przed żarłocznością krzyżacką, to znów przed Moskwą i przed bolszewickim pożarem. Zniszczenie Polski wywołało, w nieuchronnej konsekwencji późniejszej, wojnę światową. Zaś obecność wolnego państwa polskiego w tym punkcie Europy, broni dziś małe państwa słowiańskie przed przemożną ekspansją germańską, odgranicza Europę od komuny, a zarazem nie dopuszcza do starcia hitlerji i bolszewji, grożącego katastrofą światową. Już to samo predestynuje Polskę do tej roli kierowniczej i konstruktywnej w Europie Środkowej.

Jest jeszcze jedna predestynacja. Położenie ośrodkowe Polski między największemi potęgami ideokratycznemi nowej Europy: Niemcami a Rosją, oraz między dwoma światami kulturowemi, wyrosłemi pod patronatem duchowym zachodniego i wschodniego kościoła, skłania ją do neutralności w idącem starciu między tymi dwu światami, oraz między blokami państw faszystowskich i antyfaszystowskich. Neutralność ta, zadeklarowana przez Polskę już w czasie rokowań o pakt wschodni, nie może jednak pozostać negatywną. Pisałem niejednokrotnie, że Polska może i powinna prowadzić politykę neutralnej barjery między Niemcami i Rosją *tylko pod warunkiem stworzenia idei własnej*, w oparciu o którą będzie ona mogła — w chwili, gdy spiętrzą się na niej potężne procesy dziejowe — wysunąć polski pozytywny plan reorganizacji Europy. Otóż chwila taka nadeszła, a w każdym razie jest już bardzo bliska. Dalsza neutralność nasza ma sens tylko w ramach ofenzywy ideowej, czyniącej Polskę przodowniczką Europy Środkowej, przeistoczonej w wielkie imperjum federacyjne.

Taka jaka jest, z niedorozwojem intelektualnym i z nieszczęsnym „kompleksem niższości“, połączonym z niewiarą we wszystko, co stworzył genjusz polski a z małpowaniem „zagranicy“, Polska oczywiście misji tak wielkiej nie dopełni. Trzeba wprzód dźwignąć naród potężnym zrywem odrodzenia moralnego i umysłowego. Trzeba przeciąć ten ohydny wrzód, jakim jest na organiźmie duchowym Polski nasza „elita literacko-intelektualna“, ta szajka bezideowych, snobizujących się na czerwono, grzebiących z lubością w genitaljach i seksualjach pasorzytów, dla których wyrocznią jest „dobry szmonces“ a misja dziejowa Polski nienawistnym humbugiem.

Również dwa największe obozy polityczne Polski współczesnej, ruch narodowy i obóz rządzący pod znakiem „ideologji państwowotwórczej“ nie są w stanie wykrzesać z siebie idei i energji twórczej, zdolnej przeistoczyć wewnętrznie samą Polskę, a dać ożywczy pokarm duchowy wszystkim narodom owego „imperjum środka“. Polska, aby wykonać to dzieło, musi: 1) być jednolita jak monolit, skupiona wokół jednego sztandaru, 2) znać i chcieć spełnić swoje posłannictwo w świecie współczesnym. Oto czego właśnie brak naszej „sanacji“ i „endecji“: Pierwsza nie może przerzucić mostu ponad przepaścią, dzielącą ją od społeczeństwa, przez co wszystkie jej wysiłki rozbijają się w próżni; druga nie umie określić posłannictwa historycznego Polski w Europie, budując program tylko na własne podwórko, wskutek czego nie ma wciąż warunków do objęcia i utrzymania władzy. Toteż tylko wrońskizm, jako integralny, rozumowo ugruntowany mesjanizm narodowy, wyrosły z rdzenia genjuszu twórczego Polski i Słowiańszczyzny, może połączyć te dwa obozy na wspólnej platformie ideowej, zjednoczyć naród i wytyczyć linję naszego posłannictwa.

Dlaczego nie cesarstwo...

Symbol, spoidło i system władzy w „imperjum środka“ nie mogą być mechaniczne. Wziąć ten lub ów system, po suchem rozważeniu pro i contra, to byłby małostkowy formalizm. Powiada Norwid: „Niewola jest to formy postawienie na miejsce celu...“ Gdyby B. P. A. miało powstać tylko z interesu i pod zewnętrznym przymusem, możeby wystarczyło sprowadzić na Wawel Habsburga, aby reprezentował łączność polityczną takiej sklejanki. Ale B. P. A. winno się *samostworzyć*, jako wielki, bezinteresowny wysiłek składających się na nie narodów, w imę celów najwyższych ludzkości, wcielając w siebie odwieczną „myśl Bożą“, która taki właśnie ratunek przygotowała tutaj chrześcijaństwu, wolności ludzkiej i Europie. I system władzy powinien wynikać *sam przez się* z istoty tej „myśli Bożej“, powinien uzmysławiać treść ideową tej nowej kreacji historycznej. Treść ta, to przecież nie co innego, jak łączność duchowa, *unja samorzutna* oparta na dobrowolnem postanowieniu, dla obrony wartości absolutnych człowieka i ludzkości, którym zagraża nowe barbarzyństwo, katastrofa wojny gazowej czy zbrodnia rewolucji. Wszystko jedno, jakie motto wypiszemy na sztandarze tej Unji, czy austrjackie: „viribus unitis“, czy polskie „wolni z wolnymi i równi z równymi“. Dość, że władzą naczelną nowego imperjum może być tylko instytucja odzwierciadlająca ten nagi fakt, że oto kilkanaście mniejszych i większych narodów Środkowej Europy sprzęgło się nierozerwalnym, wieczystym związkiem duchowym: Rada Naczelna Unji Absolutnej, której siedzibą może być Wawel, z większą jeszcze słusznością, niżby tam miała być rezydencja Habsburga.

Nie mam nic przeciw monarchji, przeciwnie, sądzę, że władza w państwie powinna być absolutna (tylko że *absolutnie* zrównoważona przez prawo kontroli, „prawo prawdy“ przysługujące narodowi). Ale: 1) autorytet monarchji został już tak zdyskredytowany w oczach ludów, choćby przez 2-wiekową propogandę wywrotową masonerji, że blask jej już oczu nie olśniewa, 2) unja narodów Europy Środkowej nie byłaby państwem, lecz szczególniejszą formą imperjum: *nadpaństwem*. Pamiętajmy, że misją jego jest stać się zawiązkiem nowej federalności światowej, gdy się rozpadnie zakłamana, masońska Liga Narodów. Unja Absolutna będzie formacją otwartą, do której będzie mogło w przyszłości zgłosić swój akces każde państwo; zaś cesarstwo to zawsze twór sztywny, zamknięty.

Wprawdzie istotą cesarstwa jest właśnie wspaniała napoleońska idea równowagi „prawa bożego“ i „prawa ludzkiego“, jaką ustanowić trzeba w nowem imperjum. Ale tuby trzeba uroku nowej epopei napoleońskiej, aby w Europie zliberalizowanej i zbolszewiczałej nanowo wstał Cezar. Wszystko tu zależy od objawienia się żywej, genjalnej jednostki, wyposażonej w moc włodarstwa i rozkazu. Powrót Habsburga nie wskrzesiłby owego mitu Cezarów.

Babel, czy Wawel?

Wiem, że autor koncepcji B. P. A. powoła się na konieczność pozytywnego rozwiązania kwestji austro-węgierskiego klinu. Ale tu wchodzimy już na teren problemów detalicznych, których „imperjum środka“ nastręczyłoby znacznie więcej. Toteż trzeba stanąć na stanowisku, że gdy jest treść, to forma się znajdzie, a kto ma cel i ideę nadrzędną, dla tego problemy istnieją poto, by miał co rozwiązywać. Na tym najpiękniejszym ze światów niema przeszkód nieprzezwyciężonych.

Udział Austrji i Węgier w B. P. A. da się osiągnąć nie mechanicznie, przez unję personalną, lecz essencjalnie, na platformie idei, która była przez wieki ich posłannictwem historycznem. Austrja miała rację bytu nietylko, jako dach wspólny dla narodów „środka“, lecz i — przedewszystkiem — jako opiekunka zbrojna katolicyzmu. Dziś dawna, statyczna postać katolicyzmu ustępuje miejsca *dynamicznej*. Bolszewizm i rasizm neopogański podbija świat dlatego, że postulaty i nakazy moralne Chrystjanizmu nie zostały spełnione w życiu publicznem. Aby wyrugować te złowrogie widma, trzeba podjąć ofenzywę apostolstwa Chrystusowego, stworzyć katolicyzm mesjaniczny czyli posłanniczy, *chrystjanizm spełniony*. Polska, w swej idei mesjanicznej, uzbroi Austrję do walki z hitleryzmem w tarczę i miecz chrystjanizmu spełnionego; i nawzajem Austrja da Polsce łączność geopolityczną ze stolicą papieską, z Rzymem. Oto podstawa do unji nierozerwalnej tych dwu krajów. Tosamo niemal odnosi się do Węgier, z tą może różnicą, że broń chrystjanizmu spełnionego posłuży im do walki z komunizmem, usiłującym wedrzeć się nad Dunaj. Udział Węgier w unji ułatwiony byłby przez tradycyjną zażyłość między niemi a narodem polskim. Drobne korektywy graniczne powróciłyby im terytorja, do których etnicznie mają prawo; zaś państwa Małej Ententy znalazłyby w innej postaci wyrównanie strat w ten sposób poniesionych.

Bodajże trudniejszy jest problem czechosłowacki, lub raczej czeski, bo Słowacy ideowo i uczuciowo są może najlepiej przygotowani do udziału w Unji. Dzisiejsze Czechy, to klin masońsko-sowiecki, wrogi zarówno Polsce, jak katolickiej Austrji i Węgrom. Ale obecny pokost oficjalny, to niekoniecznie Czechy prawdziwe. Są i tam prądy wręcz przeciwne i naród czeski zdolny jest do wielkiego mesjanicznego porywu. W Czechach żyje idea słowiańska, zaś obawa przed naporem germańskim jest potencjalnym pomostem pomiędzy nami a nimi. Rozczarowanie do Ligi Narodów rośnie i tam, a gdyby B. P. A. potrafiło stać się zawiązkiem nowej federalności światowej, realizującej wolność demokratyczną *prawdziwą*, Czesi pierwsi poszliby za taką ideą. Szerokie koła społeczeństwa czeskiego godzą się na sojusz z Rosją sowiecką *w ostateczności*, szukają bowiem potężnego oparcia dla swego państwa wielonarodowego; gdyby znalazły one takie oparcie w Polsce i w Unji, wolałyby chyba to, niż bolszewizm. Dziś Czechy p. Benesza budują swoje nadzieje na genewskiej wieży Babel. Ale Babel rozsypuje się i bliską może jest chwila, kiedy „schroniskiem opatrznościowem ludzkości“ stanie się... *wieża Wawel*.

Trzecie zrzeszenie

Jeżeli już mówimy o detalach, warto poruszyć jeszcze dwa problemy: nasz własny, imperjalny i szerszy odeń, religijny. Pierwszy wiąże się ściśle z kwestją nacisku niemiecko-hitlerowskiego na Wschód, oraz nacisku rosyjsko-bolszewickiego na Zachód; w związku z nim pozostają dwie sprawy: bałtycka i ukraińska. Niemcy torują sobie drogę do Rosji przedewszystkiem wzdłuż Bałtyku, przez Prusy Wsch., Litwę, Łotwę, Estonję, gdzie niemiecki żywioł etniczny i kulturalny jest bardzo silny. Otóż, jeżeli Polska chce naprawdę wmanewrować państwa bałtyckie w swoje przyszłe „imperjum środka“, to musi ona porozumieć się z Litwą, gdyż wrogi klin litewski paraliżuje wszystko na tym odcinku, czyniąc wyłom w naszej „wielkiej barjerze“. Na jakich zasadach ma się powtórzyć cudowny akt unji Polski z Litwą, rozwodzić się tu nie chcę. Dość, że jest to problem życiowy zarówno dla nas, jak dla Litwy, która inaczej pozostanie na zawsze anachronicznym potworkiem, wyzutym z jakiejkolwiek racji historycznej. I powiem jeszcze, że w unji Polski z Litwą tkwi i dzisiaj tajemnica okiełznania germańskiego „Drang nach Osten“.

Co do sprawy ukraińskiej, to jest ona dla nas podstawowym łącznikiem z *ideą prometejską* wyzwolenia narodów uciśnionych Eurazji. Okiełznać Moskwę, za którą stoi cień „Iwana Kality“, jak również i tę żydowsko-bolszewicką z Kremla, grożącą zniszczeniem cywilizacji chrześcijańskiej, można tylko przez stworzenie wolnej Ukrainy, *w unji z Polską*. Dziś Ukraina jest śpichlerzem, centralą przemysłową i surowcową, oraz bramą wypadową Sowietów na Europę. Jeżeli zechcemy odepchnąć czerwonego upiora od granic przyszłego B. P. A., musimy oderwać go od tej, z której żył pije on krew życiodajną — od Ukrainy.

Wreszcie problemat religijny: los dwu kościołów katolickich, wschodniego i zachodniego. Ludność krajów, któreby weszły w skład tej formacji dziejowej, dzieliłaby się na rzymską i prawosławną. Otóż kwestja *Unji integralnej* tych dwu kościołów jest treścią rdzenną tej „myśli Bożej“, jaką ma Polska zrealizować, wspólnie z narodami imperjum. Katolicyzm zachodni i wschodni, jeśli chce ukręcić łeb hydrze neopogańskiego rasizmu z jednej, a bezbożniczego bolszewizmu z drugiej strony, musi się złączyć w jeden żywy, organiczny, zwycięski Kościół Powszechny. Może się to stać tylko na platformie chrystjanizmu spełnionego, którego doktrynę absolutną ustanawia wrońskizm (mesjanizm polski). I to będzie ten trzeci kościół, oznaczający zwycięstwo Ducha Prawdy na ziemi, Kościół Triumfujący.

Tak więc staje się jasnem, dlaczego Opatrzność powołała Polskę do bytu niepodległego w wyniku wojny światowej i dlaczego na wiele lat przedtem polski genjusz filozoficzny dokonał rewelacyjnych odkryć, dotyczących przeznaczeń ludzkości i posłannictwa Polski w ich urzeczywistnieniu. Dziś wrońskizm jest jedyną ideą i doktryną, zdolną zapłodnić polskie „imperjum środka“. Predestynowany jest do tego potrójnie: 1) jako chrystjanizm spełniony, niosący w sobie energje twórcze wielkiego odrodzenia duchowego, 2) jako plan imperjum powszechnego, równoważącego „prawo boże“ i „prawo ludzkie“ w koncepcji sprawiedliwego ustroju społeczno-politycznego, 3) jako idea Unji Absolutnej, łączności samorzutnej państw i posłannictw narodowych w łonie nowej społeczności, *trzeciego zrzeszenia moralnego*.

Jerzy Braun.

Wartości życiowe religji

Ks. Dr. *Michał Klepacz: Wartości życiowe religji*. Konferencje radjowe. 154, str. Kielce 1936.

Ks. Michał Klepacz, autor cennej monografji o idei Boga w historjozofji Cieszkowskiego (ob. recenzję w Zecie, nr. 11/25), od paru lat wygłasza przez radjo kazania oraz odczyty na tematy religijne. Obecnie zebrał te swoje konferencje w spory i ładnie wydany tomik. Czytam je z równą przyjemnością, z jaką ich swego czasu słuchałem przez głośnik. Bo jeśli autor posiada wszelkie warunki na dobrego odczytowca radjowego, a więc głos dźwięczny, spokojny i opanowany, nienaganną dykcję, umiejętną modulację bez niemiłego patosu, — to znowuż książka pozwala czytelnikowi na większe skupienie uwagi i na kilkakrotne powracanie do miejsc szczególnie ważnych.

Gdy okręt płynie spokojnie, podróżni siedzą sobie beztrosko w fotelach i dumają o niebieskich — nie! właśnie o bardzo ziemskich — migdałach. Skoro zerwie się burza, każdy kurczowo się chwyta poręczy fotela, odruchem samozachowawczym szukając stałego, nieruchomego punktu oparcia. Dziś okręt ziemski kołysze się karkołomnie, a niestety i fotele fruwają po pokładzie jak opętane. Czegóż się chwycić? I oto najmniej nawet uduchowieni zaczynają powoli zdawać sobie sprawę, że i sam glob — mówiąc dosłownie i przenośnie — nie jest czemś bezwzględnie statecznem; że i on wykonywa sto ryzykownych ruchów w płynnym żywiole immanentnego świata; że jedynym dla każdego z nas ratunkiem — to uczepić się kotwicy, której lina umocowana jest niezawodnie w Absolucie filozofów, w Bogu świętych i wyznawców. Stąd nawrót, w tak nawet lekkomyślnem społeczeństwie jak polskie, do religji z jednej, do wielkich systemów spekulatywnych z drugiej strony.

W swych konferencjach ks. Klepacz unika słodkawego namaszczenia, z jakiem się mówi o rzeczach, dalekich nam w gruncie i nierealnych. Słowa jego tchną przejmującą powagą bezpośredniej aktualności. Wzloty jego pięknej mowy są poezją, nie poetycznością. Obfite cytaty ze współczesnej literatury (z poetów najbliższym zdaje się być autorowi Staff) czynią temat bardziej przyswajalnym dla naszej dzisiejszej umysłowości. Oto książka, jakich dziś potrzeba polskiej inteligencji.

Zrazu chciałem uczynić dziełu pewien zarzut. Autor kładzie silny nacisk na potrzebę, owszem na nieodzowną konieczność czynnika transcendentnego w naszem życiu osobistem i społecznem, moralnem i gospodarczem. Dajmy nato, że się godzę z jego argumentami; czy to jednak usuwa mój ewentualny sceptycyzm? Bóg jest mi konieczny; ale... czy Bóg istnieje? Przekonałeś mię o d o b r u religji, przekonaj mię skolei o jej p r a w d z i e. — Muszę wszakże przyznać, iż taki zarzut nie byłby słuszny. Nie przez radjo i nie w kwadransowych pogadankach pomiędzy muzyką z płyt a przeglądem giełdowym, da się myśl ludzką zwrócić ku bezwzględnym zasadom rozumowym wszelkiej rzeczywistości. Ks. Klepacz dokonał wiele: myślą przeorał naszą uczuciowość, wzbudzając w nas *pojemność* na prawdy absolutne; po resztą sięgnijmy do filozofji.

Cz. J. — K.

Konieczny postulat chwili

(List otwarty do redakcji „Zetu")

Od inicjatora dyskusji „Wrońskizm a katolicyzm", która toczyła się przez szereg miesięcy na łamach naszego pisma, otrzymujemy znamienny list, który zamieszczamy poniżej.

Szanowny Panie Redaktorze!

Załączam serdeczne pozdrowienia. Tej złotej nici wsnutej za pośrednictwem „Zetu" w moje jestestwo, nici, która mnie połączyła raz na zawsze z gigantycznem zagadnieniem Prawdy Absolutnej Wrońskiego nie potrafię zerwać już nigdy. Ale zostawiam tę sprawę na boku, jako zbyt związaną z mojemi osobistemi uczuciami. Dopowiem to tylko, że Prawda Absolutna, zagadnienie tej Prawdy Absolutnej dotyczące świata materjalnego, a jeszcze więcej dziejów (świata ducha), posiane na podatną glebę uprawioną prawdziwą inteligencją, wydaje zawsze owoce. Spotykałem w moich drożeniach się o Prawdę Absolutną ludzi chętnych i chcących rozumieć o co chodzi, spotykałem i niechętnych. Tych było najwięcej. Gdy się poweźmie w skali powszechnej tę miarę, to ma się niepocieszający obraz wiecznie milczącego Sfinksa. Jak otworzyć rozumy na prawdę, na światło? Jest to istotnie „chwila osobliwa", że zagadnienie to tak bardzo zaktualizowało się niekiedyindziej, ale właśnie dziś. Cały szmat dziejów ludzkość ma już poza sobą i cały nowy szmat czeka ją jeszcze, a „chwila osobliwa", która zjawiła się akurat dziś w całej swojej grozie nie pozwala snuć pięknych widoków na przyszłość, tak jakby ludzkość za mało jeszcze była doświadczona tragicznemi przeżyciami, tak jakby ludzkości za mało jeszcze było chodzenia po omacku; jakby ludzkość za mało jeszcze poznała samą siebie. Jeszcze się nie obudziło powszechne sumienie dziejów, jeszcze się nie ocknęła prawdziwa świadomość dziejowa, która jedna byłaby zdolna otworzyć rozumy na prawdę. Jeszcze człowiek, jedyny twórca dziejów, nie stanął pośrodku tworzonego przez siebie dzieła, ażeby mu nadać odpowiedni kształt. Jeszcze przed nim nie pojawiła się owa wizja zrównana w rozpiętości przeżytych przezeń dziejów. Jak dokazać, by człowiek współczesny począł *myśleć i odczuwać całościami dziejowemi,* jak wzruszyć sumieniami współczesnych, by przeglądnęły się we wielkiem zwierciadle historji, znajdując, że ich sumienia, to tylko momenty całkujące wznoszonego masywu dziejów. Jak sprawić, by sumienia współczesnych zostały przepalone „wszechdziejów sumieniem", o czem przed blisko laty stu marzył Norwid; dopiero dziś rozumiemy jakiej głębi tragicznej we współczesnej duszy ludzkiej dotykał Norwid nurtem swojej myśli, gdy zanik sumień i trwoga przed jutrem stała się powszechną. Objąć myślą przestrzeń przebytych dziejów ludzkich to znaczy stanąć w obliczu *potwornej zagadki sensu tych dziejów,* to znaczy stanąć w obliczu powszechnego ich problematu. I wobec tegoto problematu powszechnego „stającej się historji" stanęliśmy dziś. Wobec tego problematu stał Norwid doszukując się prawdy dziejowej, przed nim jak przed zagadką nie do rozwiązania stali wszyscy polscy myśliciele i wieszczowie, stał Wroński. Sam osobiście nie znam innej zagadki poza zagadką dziejów, gdyż wszystkie inne zagadnienia sprowadzają się do tego jednego, sprowadza się doń jako zagadnienie Człowiek sam. Można zrozumieć dlaczego zagadnienie metafizyki (filozofji) dziejów objawiło się właśnie w umysłowości polskiej, dlaczego wysunęło się ono jako dominujące dla polskich myślicieli, gdy się przemyśli tragedję narodu „wplecionego w koło Iksiona", który w jednej chwili przestaje formalnie istnieć, to znaczy tworzyć dzieje w sposób wolny, skazany na zagładę przez przydział jego organizmu organizmom obcym. To, co polski genjusz narodowy pochwycił w „inteligencji rozpalonej do białości" bólem prometeicznym jako swoją świadomość dziejową, a czem zdystansował resztę Europy, tego dopracowuje się ludzkość już od lat stu zgórą, z małym wynikiem. Ten to brak świadomości dziejowej sprawia, że wszyscy współcześni zatrzymani zostali w jakiejś matni nie do przezwyciężenia. Świadomością dziejową nie można nazwać czego innego jak zdolność ujęcia dziejów w zagadnieniu ich *celu absolutnego.* Świadomość (znajomość) celu absolutnego dziejów, jest koniecznym postulatem chwili, a dotyczy przedewszystkiem Kościoła jako instytucji przekształcającej dzieje. Jest to ważne stwierdzenie, gdyż w obecnej sytuacji świata, tylko ten będzie mógł dalej twórczo przekształcać dzieje, kto pochwyci cel absolutny ludzkości.

Zagadnienie sensu dziejów, ich celowości, jest nabytkiem nowoczesnym myśli. To właśnie rozsypujące się w gruzy dawne ustroje społeczne, nieład gospodarczy pozbawiony etyki społecznej, nieład polityczny pozbawiony tejże etyki i celu powszechnego, wydobyły z otchłani na powierzchnię dziejów samo ich zagadnienie podstawowe.

Stary świat rozpada się. Na jego miejsce rodzi się nowy. Wszystko to, co było dawne, przystosowane do dawnych prądów i form życia, siłą rzeczy człowiek współczesny porzuca i dopracowuje się nowych form, by na nich dopiero budować nowe życie. Historja prądów socjalistycznych zeszłego wieku i obecnego, historja katolickiej myśli społecznej, były wywołane tą samą potrzebą. Jednakże wszystkie te ruchy tak z lewa jak z prawa sięgały raczej formalnej cechy zagadnienia odnośnie do formy i ustroju różnych dziedzin życia, a nie sięgały do jego istoty. Myślano o *formach,* któreby nanowo przekształciły życie (nowy ustrój społeczny), a nie myślano o *człowieku* samym, który przecież to życie tworzy. Obecnie w kołach katolickich (po prawicy, bo lewica dalej stara się budować zaledwie nowe formy, v. Rosja) zaczyna budzić się zrozumienie, że, by przeistoczyć życie społeczne i nadać mu nowe formy, trzeba przeistoczyć człowieka. Ale ta sama prawica wzniesiona wyżej od lewicy w świadomości dziejowej, w rozumieniu prawdziwego ideału dziejów, zapoznaje kardynalny postulat tych dziejów, *prawo postępu,* które jedyne mogło być ich motorem poruszającym. Dlatego to katolicka myśl społeczna, rozumiejąc istotę zagadnienia dziejów (przeistoczenie człowieka), a zapoznając prawo postępu, wraca po stare formy ustrojowe, średniowieczne, sądząc błędnie, iż nowy człowiek będzie się mógł swobodnie poruszać w starym garniturze. Dzieje się tak i dlatego, że katolik widzący istotę zagadnienia i nie umiejący jej doraźnie rozwiązać, nie widzi również absolutnie możliwości prędkiego wykształcenia nowych form życia, aczkolwiek ufa, że wytworzony nowy człowiek sam łatwo znajdzie drogę do nowych form. Sąd ten opinji katolickiej nie jest bezwzględnie pozbawiony podstaw. Zło i błąd nastawienia katolickiego na świadomość dziejową jest jeden, ten mianowicie, że katolicka myśl społeczna zapoznaje — jak to już powiedzieliśmy — prawo postępu dziejów, przez co zapoznaje całe nowe złoże w duszy współczesnego człowieka, ukształtowane przez *nowoczesne postępy wiedzy.* Te postępy dały uwidzieć człowiekowi 20-go wieku wolność bezwzględną jego rozumu i jego siłę poznawczą. Człowiek współczesny dzięki postępom wiedzy rozpoznaje — acz powoli — *szalone możliwości wynalazcze i stwórcze rozumu,* przez co rozpoznaje absolutną samorzutność tego rozumu i absolutną wolność tego rozumu, niekrępowanego niczem, poza własnemi warunkami wnętrznemi. Jasnem jest przeto, że przeistoczyć nowoczesnego człowieka zdoła tylko ten ruch i ten prąd społeczny, który będzie mógł zaspokoić *zarówno głód metafizyczny uczucia, jak i głód metafizyczny rozumu.* Człowiek nowoczesny przyzna się i przylgnie niewątpliwie do tego prądu społecznego i światopoglądu, który będzie w możności wypełnić całe jego jestestwo historycznie urosłe. Na to jednak, żeby odpowiedzieć wnętrznej dążności człowieka historycznie urosłego, trzeba tej dążności ustalić ostateczną rację i cel absolutny, trzeba odpowiedzieć na pytanie *poco człowiek dzieje wogóle tworzy* (in universali), co zapoznaje katolicki ruch społeczny. Wszystkie przeto odpowiedzi jakiekolwiekby nie były ze strony integralnego katolicyzmu, owszem dotykają istoty zagadnienia, ale nie umieją go w całości i w jego naturze rozwiązać. Wszystkie współczesne tęsknoty katolickie za genjuszem w rodzaju Św. Franciszka z Asyżu, któryby przekształcił życie i człowieka, nie odpowiadają w całości potrzebom chwili, a jeszcze mniej rodzącemu się jako zadanie, powszechnemu problematowi dziejów. Rozwiązanie problematu, które dał przed 15-tu wiekami w analogicznej prawie chwili dziejowej Św. Augustyn (civitas Dei et civitas terrena), jest rozwiązaniem *formalnem* zagadnienia toczących się dziejów, a nie istotnem, tak samo rozwiązanie Św. Franciszka z Asyżu jest znowuż tylko cząstkowem, a nie zupełnem.

Rozwiązanie zupełne i prawdziwe musi dotyczyć wnętrznej natury i istoty toczących się dziejów. Trzeba odpowiedzieć na „absolutne dlaczego i poco" historji, a potem będzie można „his stantibus" reformować człowieka i świat. Tylko (a totali) problem celu absolutnego historji może zafascynować współczesną duszę ludzką, nabrzmiałą ogromem wszystkich przeżytych dotąd wartości dziejowych i tylko ten problem celu absolutnego historji może rozwiązać postawione zagadnienie: poco człowiek dzieje tworzy. Jednakże daleko jeszcze do tego, by odpowiedzialne sfery intelektualne i elity społeczne uświadomiły się co do przeżywanego problematu dziejowego. Daleko jeszcze do tego, by elita społeczna, a co mówić o masach, zrozumiała przynajmniej ten prosty fakt, że człowiek, a nie kto inny jest twórcą dziejów i jeszcze dalej do tego, by zrozumiała, że człowiek tworząc dzieje, nie tworzy czego innego, tylko siebie. Tak, można zupełnie świadomie postawić tezę, że *człowiek tworzy dzieje poto, by siebie stworzyć,* t. zn. sprawić swoje własne stworzenie. I to jest ów poszukiwany cel absolutny ludzkości i zarazem problemat powszechny historji. Samostworzenie się człowieka jest poszukiwanem rozwiązaniem natury i istoty zagadnienia dziejów. Jest to owo przeistoczenie człowieka, około którego zabiegają katolicy chcący zeń wyprowadzić nowe życie społeczne ludzkości i nowe formy. Ale jak sprawić to nowe stworzenie człowieka i nową ludzkość?

Katolicyzm w swojej idei wzniosłej przeistoczenia ludzkości w nową ogranicza się do odrodzenia moralnego. Wroński w swojej filozofji absolutnej idzie o wiele dalej; zgodnie z odkrytem przez siebie Prawem Tworzenia wszelkiej rzeczywistości, (a więc i historycznej), sięga on aż do stworzenia duchowego ludzkości, biorąc odrodzenie moralne za zjawisko wstępne tego procesu. Samostworzenie duchowe człowieka, idąc po linji najdalej wysuniętych idej wrońskizmu, należy rozumieć nie jako moralne zaledwie, ale wprost jako fizyczne, (raczej *hiperfizyczne,* uważając za fizyczne to wszystko, co zostało już stworzone przez Boga). Oto problemat dziejów: *człowiek ma się stać stwórcą samego siebie,* realizując Prawdę (maximum wiedzy) i Dobro Absolutne (maximum postępowo zrealizowanych wartości). Sam problemat samostworzenia się fizycznego (hiperfizycznego) jest trudny do zrozumienia, ale zważmy na zimno i zupełnie trzeźwo (bezwzględnie logicznie): czyż człowiek może obrać inny cel jako cel absolutny swoich dziejów — jak, by przez uprawę czystą rozumu, wiedzy najwyższej (filozofja jako wiedza o wiedzy, Prawda Abs.) i woli (religja jako dziedzina Dobra Abs.), przenikać postępowo do istoty wnętrznej Absolutu — Boga, gdy te dzieje tworzy poto, by się unieśmiertelnić, by zdobyć nieśmiertelność („Żywot wieczny" jako byt nieśmiertelny).

Chciałbym zwrócić uwagę, (o ile głos pojedyńczy coś znaczy), *przedewszystkiem sfer katolickich,* na wydobywające się w obecnym okresie zagadnienie dziejów, dlatego, że one na pierwszem miejscu obowiązane są pochwycić omawiany problemat historyczny i dlatego, że nikt inny nie jest tak wzniesiony w rozumieniu zadań społecznych współczesnych i nikt inny nie jest tak bardzo zdolny do myślenia kategorjami eschatologicznemi historji, jak koła katolickie. Podstawowa myśl katolicka jest ta, że pojmuje się dzieje teleologicznie (celowo), jako zgóry nakreślony plan działania. Nieszczęście, że myśl katolicka celowość dziejów pojmuje więcej zewnętrznie jak wewnętrznie, wysuwając na pierwsze miejsce dobro moralne (cnotę), a pomijając dobro umysłowe (postępy wiedzy, rozumu). Trzeba raz nareszcie uświadomić sobie, że postępy wiedzy nie odnoszą się jedynie do dobrobytu fizycznego człowieka, ale o wiele więcej do dobrobytu hiperfizycznego, do tego, co zwiemy „nadprzyrodzone". Jest to błąd uważać, że problematyka zbawcza jako zadanie dziejów dokonuje się zewnętrznie, a nie wewnętrznie przez człowieka, że *nieśmiertelność pojmuje się zewnętrznie jako nagrodę Boską, a nie jako własny twór człowieka.* Nie można twierdzić, że postępy wiedzy i wznoszenie się postępowe rozumu ku absolutowi jest niesprzymierzalne z problematyką zbawienia. Nie można twierdzić, że dzieje (ich zawartość, ich treść) nie zawierają nic poza „moralnem", coby było wartościującem w odniesieniu do „nadprzyrodzonego [1])". Kościół winien zrozumieć, że człowiek tworząc dzieje, nie tworzy ich tylko poto, by za czyny moralne uzyskać nieśmiertelność jako nagrodę Boską. Kościół winien sobie uświadomić (i to jest ostatni i najnowszy postulat historyczny kościoła, by mógł odpowiedzieć rodzącej się nowej rzeczywistości dziejowej), że człowiek tworząc dzieje, tworzy swoją rzeczywistość duszy absolutną, nieśmiertelną, że jest fizycznym twórcą tej rzeczywistości i w osiąganiu nieśmiertelności czyli *bytu hiperfizycznego absolutnego* pozostaje w stosunku koniecznym przyczyny do skutku. Postulatem nowoczesnym kościoła jest, by uświadomił sobie, że tak wartości moralne jak i umysłowe (postępy wiedzy) zmierzają w tym samym kierunku i zczasem okaże się, że tak wola moralna Dobra Abs., jak stwórczość rozumu rzutująca się ku wiedzy absolutnej (Prawdzie Abs.) wypracowują w sobie jedno i to samo: *zdolność samostworzenia się na nieśmiertelność.* Pojmować dzieje jako arenę pracy tylko dla woli (zbawienie przez uprawę cnoty) z pominięciem wartości pracy rozumu, jest to zapoznawać jednolitą istotę duchową człowieka, która okazuje się tą samą i w woli i w rozumie. Władze: wola i rozum, nie są czemś różnem w duszy (chyba wirtualnie) i stąd zadanie dziejów jest jedno obejmujące i wolę i rozum. Nie wolno człowieka zubożać o to, co jest w nim najbardziej wielkie (rozum), trzeba brać człowieka całego i tej całości wyznaczać pracę zbawczą, gdyż Bóg stworzywszy człowieka, stworzył go takim, jakim jest i z temiż władzami. Tym to władzom, rozumowi i woli, wyznaczył Bóg możność samorzutnej zasługi w zdobyciu „żywota wiecznego", nawet możliwość stworzenia tego „żywota" przez się.

Obecnie świat wchodzi raptownie w nową fazę rozwojową. Naczelne prądy społeczne współczesne apelują przedewszystkiem do wolności absolutnej człowieka i przytem wierzą prawie we wszechmoc stwórczą tego człowieka czy narodu (Hitleryzm). Wydawałoby się, że jest iluzją przypisywać pewnego rodzaju wszechmoc człowiekowi, że jest to wprost sprzecznem z naturą ograniczoną człowieka, a jednak przy głębszem wniknięciu w celowość dziejów rozumie się tę dążność. Znak to oczywisty, że w duszy współczesnej zaczyna powoli narastać owa poszukiwana świadomość dziejowa jako *pojemność na problemat powszechny dziejów,* aczkolwiek jeszcze podświadomie. Wygląda to na paradoks, a jednak zawartości ideologiczne i geneza tych prądów wyraźnie to mówią. Nic nie znaczy, że prądy te społeczne i ideologje obierają fałszywy kierunek wprost przeciwny do problematu dziejowego, pozostaje sam fakt tej dążności, co dowodzi, że istnieje i rzecz. Jeżeli więc katolicki ruch społeczny chce wyrugować inne ruchy społeczne błędne, jeżeli chce sprostać wszystkim nowoczesnym potrzebom i nowej rzeczywistości dziejowej, musi sam urosnąć w pojmowaniu dziejów, musi dojrzeć do świadomości dziejowej i odnaleźć klucz tej świadomości czyli ów poszukiwany problemat absolutny historji, który zarazem okaże się *kluczem do duszy współczesnej.* Inaczej na nic się zdadzą wszczynane próby przekształcenia życia i świata. Również na nic się zda cała Akcja Katolicka, będzie bez powodzenia. Odwrócić historji nijak nie można, tak jak nie można wyjść poza jej rzeczywistość. To co było dobre dawniej przed 4-rema czy 10-ciu wiekami, nie może być dobre dziś. Prawo postępu historji istnieje taksamo oczywiście jak prawo fizycznego rozwoju człowieka i jego rozumu. Jeżeli w średniowieczu był dobry ustrój społeczny korporacyjny, to nie może on być dobry bez zastrzeżeń obecnie, przynajmniej bez istotnej nadbudowy tego systemu. Tosamo tyczy średniowiecznej *myśli tomistycznej.* Oczywistem jest przecież, że sama średniowieczna myśl tomistyczna, która swego czasu przyniosła duże wyniki, przy posuniętych daleko obecnych postępach wiedzy współczesnej nie będzie twórcza, nawet dla postępów samejże wiedzy teologicznej, a jeszcze mniej dla postępów i rozwoju rozumu. Nie można przeżywać renesansu dawnych ideałów i dawnej myśli, gdy świeżość tych ideałów i myśli jest pozorna, bez równoczesnego rzeczywistego zastoju. Rzeczywiście trudno jest zrozumieć jak można uciekać się do tak łatwych sposobów rzekomego odradzania myśli ludzkiej z równoczesnem prześlepianiem *prawdziwych postępów wiedzy i rozwoju rozumu,* a jeszcze mniej można rozumieć, gdy się te postępy wiedzy chce uważać za szkodliwe. Aliści z całą stanowczością o kościele katolickim twierdzić tego nie można.

Jeżeli Św. Paweł kazał stronić chrześcijanom od współczesnych sobie domorosłych filozofów, [2]) a nawet od klasycznej filozofji greckiej, to nie dlatego, że chciał zaprzepaszczać samodzielne wyniki wiedzy ludzkiej zdążające ku odkryciu Prawdy absolutnej. Św. Paweł czynił to ze względów psychologicznych i pedagogicznych. Najprzód — trzeba nam to dopowiedzieć: wszystkie ówczesne (jak i obecne) prądy filozoficzne sprzeczne były ze sobą i żaden z nich nie mógł okazać Prawdy Absolutnej; po drugie i to jest to najważniejsze: prawda katolicyzmu nie była jeszcze na tyle ugruntowana, wewnętrznie przeżyta i pogłębiona rozumowo, by można było pozwolić sobie na dowolne jej przedyskutowanie i skonfrontowanie z istniejącemi wynikami filozoficznemi, przy znikomym ówczesnym stanie wiedzy. Historja kościoła za dobrze zna i pamięta owe osławione, dawne i nowe, synkretyzmy nieprzeżytej i nieprzemyślanej prawdy katolickiej ze świecką myślą filozoficzną grecką, czy współczesną (gnoza, manicheizm, modernizm, itd.), i dlatego nie łatwo idzie na lep nowości. Można rozumieć tą ostrożność i metodę kunktatorską kościoła w stosunku do nowości intelektualnych i nie można czynić kościołowi z tego zarzutu jako instytucji przechowującej prawdę objawioną. Smutnym jest fakt pozytywnego tamowania postępu wiedzy w średniowieczu, lecz trzeba ten fakt położyć na karb tego co w kościele jest ludzkie. Kościół mimo kuli uwiązanej u jego nogi, w postaci trwożliwej, ułomnej natury ludzkiej, w zasadzie zawsze godził się na prawdziwe postępy wiedzy i jasno ujętą myśl filozoficzną, dowodem augustynizm i tomizm. To też wszystkie ewentualne zamachy na postępy rozumu, które miały miejsce i mogą mieć miejsce, pochodziły i pochodzą z *ciasnych zaściankowych kół katolickich,* a nie z kościoła jako wzniosłej Boskiej instytucji Prawdy. Metodę ostrożności względem świeckiej myśli filozoficznej pojmie się jeszcze lepiej, gdy się pozna, że żaden z reklamowanych systemów filozoficznych aż dotąd nie umiał dowieść swojej Prawdy jako Absolutnej. Tymczasem Prawda kościoła jest Prawdą Absolutną (określenie formalne), bo objawioną zgóry.

Weszliśmy do sedna rzeczy. Chodzi o jeszcze jeden system filozoficzny, mianowicie wrońskizm. *Wrońskizm jako system filozoficzny przynosi wszystkie swoje podstawowe tezy jako Prawdę Absolutną.* Ale co to jest Prawda Absolutna? Twierdzimy, że kościół katolicki ją posiada. Czem ona jest, na to niełatwo odpowiedzieć. Otóż, żeby nie wchodzić we wewnętrzną strukturę rozumu jako jedynego sprawdzianu Prawdy, — co wymaga dużej dyscypliny umysłowej i ma miejsce w sa-

(Ciąg dalszy na str. 4-tej).

---

[1]) Jeżeli katolicki pogląd na dzieje jest prawdziwy, to arena dziejów nic przedstawia nic istotnego, nic wartościowego, *poza cnotą.* Wysiłek umysłowy Platona, Arystotelesa, Św. Tomasza, Kopernika, Newton'a, Kanta itp., postępy nauk i filozofji zamykałyby się w ziemskim kręgu wartości i jako zasługa na „żywot wieczny" poza tkwiącym w tych wartościach spełnionym obowiązkiem moralnym byłyby żadne, a więc nie potrzebne dla problematu dziejowego. Dalej absurdu dziejowego posunąć nie można.

[2]) Zob. Listy św. Pawła. Sławne jest i często cytowane zdanie św. Pawła: „poczytywam sobie to wszystko (całą ówczesną wiedzę) za gnój".

Z dna rzeczywistości polskiej

(„Głosowi Lubelskiemu" w odpowiedzi)

Po artykule moim „I to ma być Polska?" rozpętała się istna burza prasowa. Uczepiono się jednak tylko jednego szczegółu, mojego ostrzeżenia dotyczącego deprawacji młodzieży, podczas gdy artykuł ten omawiał całokształt impasu ideowego, w jaki zabrnęła Polska. „Głos Lubelski" jest, jak dotąd, jedynem pismem, które zwróciło uwagę na *całość* poruszonych przezemnie problemów, i podjęło poważną, rzeczową polemikę na tej właśnie, najszerszej platformie.

Pan M. N. K., w artykule „O polskiej rzeczywistości narodowej" („Głos Lubelski" z 11 kwietnia b. r.) pisze, że mój „cały artykuł zasługuje na uwagę, ponieważ jest jednym wielkim krzykiem na alarm, jest apelem do społeczeństwa, aby zrozumiało przepaść, nad którą Polska stoi i konieczność niezwłocznego szukania środków". Autor ma mi jednak za złe, że potępiłem wszystkie bez wyjątku obozy i czynniki społeczne Polski współczesnej, obarczając je w równej mierze zarzutem wielkiej dziejowej winy. Jego zdaniem obóz narodowy powinien być wyjęty z pod tej anatemy, gdyż on: 1) odsunięty od władzy, nie miał możności wpływania na rzeczywistość polską i obronienia jej przed postępującym rozkładem, 2) przewidywał wcześniej od „Zetu" skutki tego fałszywego toru, ostrzegał przed niemi i wskazywał drogę wyjścia, przejawiając w tej walce heroizm i bezinteresowne poświęcenie. Niesprawiedliwość moja ma swoje źródło — zdaniem jego — w tem, że ja nie znam programu ideowego i wypowiedzi stronnictwa narodowego, ulegałem, ulegam widocznie dotąd suggestjom wrogich endecji kół sanacyjnych.

Otóż zaznaczam przedewszystkiem, że od paru lat, t. j. od chwili, gdy po gruntownem przemyśleniu doktryny Hoene-Wrońskiego i wogóle dzieł polskiego mesjanizmu, zrozumiałem do rdzenia i raz na zawsze co to *jest Polska*, poco ją Bóg powołał do istnienia i co powinna uczynić w dziejach — nie ulegam już suggestjom niczyjim. Powtóre, znam program polityczno-gospodarczy i zasady ideowe stronnictwa narodowego, prasę narodową czytuję, a dzieła Dmowskiego są mi też nieobce. Potrzecie, nie przeczę, że akcja polityczna przywódców i zwolenników tego obozu nosi w warunkach obecnego systemu piętno szczerego, bezinteresownego heroizmu, jakkolwiek ułatwia ją posiadanie wielkiej rzeszy stronników i całej falangi pism, oraz potoczność haseł, które są dla mas dostępne, popularne, a często nawet demagogiczne. Poczwarte stwierdzam, że w postawionych zarzutach odróżniłem stopnie przewiny, nie atakując obozu narodowego, ani w części tak ostro, jak grupę sanacyjną, czy np. klikę „Wiadomości Literackich".

Napisałem dosłownie: „Zawinili „narodowcy", bo zatykali uszy na zew Polski-Idei, ogłupiając młodzież trywialnem hasłem: „bić żydów!" Mój zarzut pod adresem tego odłamu nie dotyczy więc jego indyferentności w stosunku do różnych szkodliwych i destrukcyjnych przejawów rzeczywistości polskiej — gdyż na tem polu czujność jego nie da się zaprzeczyć — lecz *systematycznego zapoznawania tego, co stworzyła i odkryła polska myśl filozoficzna, jako rzeczywiste posłannictwo Polski*. Co do „bicia żydów" to byłem zawsze przekonany, że stronnictwo narodowe ekscesy te pochwala. „Głos Lubelski" twierdzi coś wręcz przeciwnego; pragnąłbym by tak było wistocie, że on ma rację, a ja się mylę. Muszę tu jednak zaznaczyć, nawiasowo, że: 1) uważam metody hitlerowskie (za wyjątkiem pewnych słusznych posunięć ustawodawczych) za triumf ducha żydowskiego nad chrześcijańskim, bo rasistowska idea „narodu wybranego" i związku krwi, jest wytworem par excellence judaistycznym [1]); 2) użycie brutalnego samosądu jest nietylko zaprzeczeniem Chrystusowej zasady miłości bliźniego, lecz autodeprawacją, która poniża i wykoszlawia duchowo tych, którzy go stosują; 3) walka z żydami pałką, a nie rozumem konstruktywnym i walorami duchowemi, jest wodą na młyn żydowskiego Synhedrynu, który dzięki tym ekscesom utrzymuje swój tłum w karności i szowiniźmie ghettowym; 4) gdyby nawet metody hitlerowskie były dobre w Niemczech, gdzie jest 1% żydów, byłyby złe w Polsce, gdzie jest ich 10%, przy kilkakrotnie słabszym od niemieckiego polskim potencjale społeczno-gospodarczym i dyscyplinie narodowej; 5) rozwiązanie kwestji żydowskiej w Polsce możliwe jest tylko w skali światowej i na płaszczyźnie nadrzędnej, zaś *plan i środki takiego rozwiązania dać może jedynie wrońskizm*; żadna inna idea, czy doktryna dostarczyć go nie jest wstanie.

Mniejsza jednak o żydów, bo idzie mi o rzecz głębsze i bardziej zasadnicze, o polskie „być — nie być". Znam program obozu narodowego, lecz właśnie dlatego stwierdzam, że nie wie on, jaką powinna być Polska, jako żywa prawda i jako „myśl Boża". Endecja była już u władzy; jej hasła to nieokreślony sentyment narodowy, ekskluzywność wobec mniejszości obok zasady nadrzędności żywiołu polskiego, dalej walka z żydami i z międzynarodówką masońską, zasada ustrojowa: „władza należy do narodu", polszczenie miast, oparcie się na masach ludowych i wogóle drobnych warsztatach pracy, itd. Jest to konglomerat haseł słusznych i fałszywych, wystarczający, by stać się programem stronnictwa, ale nie będący jeszcze tem, co zwiemy IDEĄ. Obciąża endecję spadek pozytywizmu, zacieśniający jej horyzonty do perspektyw dziwnie przyziemnych i małostkowych. [2]) Dzisiaj nacjonalizm przedwojenny Dmowskiego i Popławskiego unowocześnia się zastrzykiem haseł i emblematów włoskiego faszyzmu, niemieckiego hitleryzmu. Ostatnio w miejsce egoizmu plemiennego wysuwa się szlachetniejszy ideał obrony wartości wiecznych kultury, moralności i religji. Lecz wszystko to nie jest jeszcze POLSKĄ, nie przynosi rewelacji posłannictwa narodowego; zaś *tylko posłannictwo jest racją prawną istnienia i nieśmiertelności narodu w historji.*

Nie chcę powtarzać dwa razy tych samych rzeczy, odsyłam więc do moich artykułów: „O twórczy nacjonalizm polski" („Gazeta Literacka"...), „Narodowcy a rewolucja duchowa" („Zet", nr. 17 (65), r. III), „Grzech pierworodny obozu narodowego" („Zet", nr. 22 (70), r. III). Polemizowałem ja już z narodowcami, którzy kpili w żywe oczy z najwyższych kreacji myśli polskiej, z całego polskiego mesjanizmu, z Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego, Wyspiańskiego, Norwida. Pisałem: „to jest istotnie najstraszniejsza tragedja Polski rzekomo narodowej, która nie pojmuje, która nie wie nawet (całkiem poprostu *nie wie!*) co *stworzył z siebie naród*". Pisałem też, na innem miejscu, że jak źródłem klęski obozu sanacyjnego jest kłamstwo, dwutorowość słów i czynów, czyli nieobecność *prawdy,* tak przyczyną niemocy obozu narodowegc jest jego niewiedza i obojętność w stosunku do tego, co jest istotą Polski „z ducha poczętej", ukrytej w dziełach i myślach Skargi, Kochanowskiego, Mickiewicza, Libelta, Gołuchowskiego, Krasińskiego, Kamieńskiego, Norwida, Słowackiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego, Szczepanowskiego, Wyspiańskiego, Brzozowskiego, zwłaszcza zaś największego z wielkich: Hoene-Wrońskiego.

W XIX-tym wieku dokonała się rzecz jedyna i niepowtarzalna. Aby znaleźć dla niej analogon w dziejach, można tylko sięgnąć 2.000 lat wstecz, do momentu, w którym Jezus Chrystus, Bóg - Człowiek, objawił światu swój kardynalny problemat zbawczy, sformułowany najwyraźniej w słowach: Oportet vos nasci denuo (Trzeba, abyście się narodzili po raz wtóry). Mianowicie myśl polska, w genjalnym rzucie wzwyż, przeniknęła — po raz pierwszy w historji — istotę wnętrzną nadprzyrodzonego, odkryła absolut, czyli potencję i budowę *aktu stworzenia,* mocą którego istnieje Bóg a powstaje wszechświat i człowiek. Więcej: udowodniła ona jako absolutny pewnik istnienie Boga i możność samorzutnego zdobycia przez człowieka nieśmiertelności osobowej, a temsamem odkryła sens i właściwy cel dziejów, przeznaczenia ostateczne ludzkości, a w ramach tych przeznaczeń posłannictwo narodów (w szczególności Słowiańszczyzny i Polski).

W ten sposób myśl polska *spełniła zapowiedź Chrystusa,* że w czasach największego rozprzężenia, chaosu i klęsk ludzkości, gdy już — zdawałoby się — znikąd nie będzie ratunku, okaże się światu „Pocieszyciel, duch Prawdy", a więc rozum, rozwiązujący wszystkie potwornie napiętrzone problematy naszego życia. Myśl ta, bynajmniej nie „oderwana", lecz dotycząca najstraszniej aktualnych rzeczywistości, nie została zrozumiana ani nawet dosłyszana przez współczesnych. Ale im dalej brnie świat po ślepym torze nonsensów i barbarzyństwa, im ohydniej materjalizuje się społeczność, deprawują dusze, dziczeją obyczaje polityczne, im bliższa jest katastrofa wojny i rewolucji, po której ziemia odtworzy, być może, krajobrazy wymarłego księżyca, *tem większa odpowiedzialność spada na naród,* który jest tej zbawczej myśli dziedzicem i naturalnym realizatorem. Żyjemy w czasach niezwykłych. Idzie epoka nowego apostolstwa i walki bezwzględnej pomiędzy dobrem a złem zorganizowanem. To właśnie Polska, ze względu na swe położenie geopolityczne i ideę przez siebie posiadaną, ma być tą „niewiastą, która zdepcze głowę węża", to właśnie Polska ma ocalić cywilizację, wolność i religję, obalić fałsze bolszewizmu moskiewskiego i rasizmu germańskiego, unicestwić spisek masonerji i tajnych związków wywrotowych, zdemaskować błędną ideję postępu suggerowaną światu przez judaizm, a wskazać kierunek prawdziwego postępu.

Tego wszystkiego zdaje się nie pojmować obóz narodowy w równej mierze, co i sanacyjny. Narodowcy walczą, owszem, o konieczności życiowe Polski, ale odrzucają jej *posłannictwo*. Dlatego zarzucałem i im, że nie wiedzą, jaką ma być Polska. M. N. R. uważa mój artykuł za „destrukcyjny", w tym sensie, że „gdyby było istotnie tak, jak sądzi p. Braun, że tylko jedno czasopismo i tylko paru ludzi miało i ma oczy otwarte, to sytuacja nasza byłaby tragiczną, bo nie byłoby na kim się oprzeć w dążeniu do prawdziwej Polski". Otóż to: instynkt samozachowawczy każe nam szukać uspokojenia, że jednak „tak źle nie jest". Tymczasem właśnie w tem rzecz, że sytuacja nasza jest tragiczna i im bardziej będziemy zamykać oczy na ten tragizm, tem bardziej on się będzie pogłębiał. Idzie o to, że historja rozmyślnie nas zapędziła w pułapkę, w sam środek sił olbrzymich a destrukcyjnych, prących na nas od Zachodu i Wschodu, — niewątpliwie poto, byśmy się obudzili i wykonali naszą misję. Im prędzej zrozumie to naród, tem dla niego lepiej.

Klniemy na żydów, ale nam grozi dziś to samo, co im niegdyś. Ostrzegał przed tem Norwid: „A jak głos Zbawicielski zawoła, to go już nie poznacie, wołając: miałżeby stąd przyjść? a myśmy go zinąd wyglądali. Tak u żydów się stało". Żydzi odrzucili swoje posłannictwo dziejowe, ugrzęźli w doczesności, ukrzyżowali Chrystusa. Garstka tylko zrozumiała prawdę nowej ery, jaką im zwiastowano. Ta prawda rozszerzyła się pośród innych narodów, ale naród żydowski uległ zagładzie politycznej i rozproszeniu. Oby los Polaków nie upodobnił się kiedyś do losu żydów, oby nie sprawdziły się straszne proroctwa ukryte w symbolach teatru Wyspiańskiego, oby Polska odnalazła swój cel i kierunek w dziejach, swoją rację bytu!

Nie dla czczej chwały pisałem, że „my wiemy jaką ma być Polska". Trzeba to rozumieć dosłownie. Niech M. N. K. przeczyta sobie artykuł „Wyścig śmiertelny", w nr. 11 (83) „Zetu", a pojmie jaka to groza i jaki to nadludzki wysiłek zżera nam serca.

Aby uświadomić sobie, co Polska ma do zrobienia w obecnej chwili dziejowej i w przyszłości, trzeba *myśleć.* Niestety MYŚL w Polsce cierpi ucisk i to nietylko od „czynowników Czynu".

Jerzy Braun.

---

1) Jest w tem przedziwna Nemezis dziejowa, że właśnie rasizm germański, doktryna „związku krwi", stał się biczem Bożym na talmudyczny „związek krwi", który jest straszną zdradą i wypaczeniem żydowskiego posłannictwa dziejowego.

2) Rozwinę to i udowodnię innym razem.

3) Endecja jest zawsze silna tam, gdzie może stanąć na gruncie negacji, malkontenctwa, natomiast brak jej woli i energji konstruktywnej; pod tym względem zdystansował ją obóz sanacyjny, który — mimo swych błędów — przeforsował w Polsce dwa dokonania pozytywne: 1) wzmocnienie władzy naczelnej, 2) zasadę nadrzędności państwa w stosunku do warstw i interesów grupowych.

Wistnyk

Rocznik IV, zeszyt 1, styczeń 1936. Piękna „Sonata księżycowa" E. Małaniuka. Nader ciekawy artykuł I. Sołoniewicza p. t. „Rosja w obozach koncentracyjnych": o prądach rewolucyjnych, nurtujących młodzież komunistyczną. Przekład studjum Andrzeja Maurois o Conradzie Korzeniowskim. Entuzjastyczne sprawozdanie M. Ostrowerchy o nowej Italji. Przekład artykułu publicysty angielskiego O. Key'a „U progu nowej doby": autor wyczuwa iż jeden okres cywilizacyjny skończył się bezpowrotnie i że musimy samorzutnie zapoczątkować następny. Cięty, jak zwykle, artykuł Doncowa p. t. „O baronach średniowiecznych i baranach z bajki". Ironiczne uwagi *Nemo* o stosunkach panujących w Abisynji. — Zeszyt 2, luty 1936. Zajmujący artykuł o de Valerze. — Zeszyt 3, marzec 1936. Głębokie myśli Małaniuka o Szewczence i jego pracach. „Olbrzym na glinianych nogach": nader krytyczne uwagi o Sowietach. Ciekawa próba wywiedzenia niektórych idej bolszewickich z ideologji Tołstoja. W przeglądzie prasy czytamy takie uwagi: „To wszystko ma być ironją na temat tych, co rozsiewają zmyślone strachy. Ale nie, masoni nie są bajką. Mussolini może walczyć z negusem, z Ligą Narodów i nawet z Anglją, ale nigdy z wiatrakami. A przecież rozwiązał on towarzystwa masońskie we Włoszech i wypowiedział im wojnę. Również nie wygląda na człowieka walczącego z wiatrakami i Hitler, a on także wydał masonerji bój na śmierć i życie. Wielu poważnych polityków francuskich, wiele czasopism— prowadzi kampanję z wolnomularstwem, do którego należą głównie radykali i socjaliści (tak samo jak i u nas!): przytaczają ich uchwały, podają adresy ich lokali, wymieniają nazwiska ich wodzów itd... Bardzo dobrze, że i u nas się rozpoczęła nagonka na masonerję".

(Ciąg dalszy ze str. 3-ej).

mem studjum filozofji absolutnej Wrońskiego — wymianujemy cechę zewnętrzną i ogólną tej prawdy: jest nią *katolickość.* Prawda Absolutna musi być katolicka, obojętnie, czy ogłoszona zgóry przez objawienie czy wydedukowana rozumem, gdyż objawienie i rozum ludzki mają wspólne źródło: Rozum Boży. Prawda Absolutna musi być katolicka, t. zn. dosłownie: jako powszechna, ontologicznie: jako zrównana z rzeczywistością. Obraz dziejowy przedstawia się tedy następująco: *Kościół katolicki,* oczywiście uprawniony przez objawienie, ogłasza się depozytarjuszem Prawdy Absolutnej, Wrońskizm — postępowa dziejowo sublimacja rozumu, oczywiście uprawniony przez wnętrzną istotę rozumu jako jedynego sprawdzianu i twórcy prawdy, *tak samo ogłasza się depozytarjuszem Prawdy Absolutnej.* Dwóch Prawd Absolutnych niema, jest jedna. Przeto nie pozostaje dla kościoła nic innego, jak stwierdzić warunki Prawdy Absolutnej wrońskizmu — czyli *albo zatwierdzić albo zaprzeczyć* . I powtórnie nie pozostaje dla wrońskizmu nic innego, jak stwierdzić warunki Prawdy Absolutnej Kościoła, czyli albo zatwierdzić albo zaprzeczyć. Ale, gdy Prawda Absolutna jest tylko jedna, to warunki odnośnych zawartości (kościół, wrońskizm) *muszą być tożsame,* gdyż Prawda Absolutna uwarunkowana jest jednako, różne mogą być tylko sposoby dojścia, tu objawienie (Rozum Boży), tam rozum ludzki. Rozum Boży i rozum ludzki różnią się pomiędzy sobą *stopniem a nie naturą,* stąd poczęcie Prawdy Absolutnej przez rozum ludzki jest zasadniczo możliwe. Filozofja absolutna stwierdza to wyraźnie, stwierdza nawet możliwość poczęcia samej zasady wszelkiej prawdy.

Z powyższych rozważań wynika, że kościół jako depozytarjusz Prawdy Absolutnej objawionej mógł iść w ciągu dziejów mimo wobec różnych systemów filozoficznych, aczkolwiek nie wobec prawdziwych postępów samej wiedzy, która niejednokrotnie była ich wynikiem, gdy te systemy ścigały Prawdę Absolutną czystym rozumem *bezskutecznie,* nie może natomiast przejść mimo wobec faktu, gdy i jeżeli pewien system filozoficzny postępowo czystym rozumem *rzeczywiście i skutecznie doścignął Prawdę Absolutną.* Wtedy trzeba ją skonfrontować i gdy jest tożsama (a tożsamą jako Absolutna nie być nie może) *przyswoić.* Wrońskizm jako filozofja Prawdy Absolutnej wchłonął już był katolicyzm, prawdę objawioną jako swoją własną (bo Prawda Absolutna jest tylko jedna), cowięcej pogłębił zrozumienie problematu zbawczego (oportet vos nasci denuo) postawionego przez Chrystusa i udział w tym problemacie człowieka jako zadanie dziejów, wyznaczył też ściśle rozumowe dowody na Boskość katolicyzmu czyli dowiódł ją jako absolutnie pewną. To co rzekliśmy poprzednio o pochwyceniu celu absolutnego dziejów odnosi się przedewszystkiem do kościoła jako instytucji przekształcającej dzieje. Kościół tedy, by mógł utożsamić się z celem absolutnym historji *winien utożsamić się z filozofją absolutną wrońskizmu,* gdyż tylko wrońskizm cel ten ustanawia, zgodnie z odkrytą przez siebie zasadą wszelkiej prawdy, Prawem Stworzenia. Czem jest zasada stwórcza prawdy, owo Prawo Stworzenia Wrońskiego, nie tu miejsce omawiać. [3]) Można i trzeba podkreślić to jeszcze, że człowiek współczesny, gdy dopnie poszukiwanej świadomości dziejowej, *zażąda celu absolutnego, któryby był równy całym przebytym dotąd dziejom i obejmował przyszłe.* Zresztą, co będzie można budować na gruzach starego świata, gdy przejdzie po nim np. fala bolszewizmu, jak nie *nowe człowieczeństwo,* człowieczeństwo, któreby było zgodne z istotą realizowanych dziejów? Mówić, że urzeczywistni się na nowo to samo chrześcijaństwo, które zakwitło było w pierwszych wiekach czyli mówić o t. zw. assocjacji i assymilacji, [4]) znaczy zaczynać da capo dzieje, które miały już swój początek i przebieg na wstępie Ery Chrystusowej; znaczy to uważać za niebyłe te wszystkie procesy i sublimacje wartości, które z konieczności dokonały się w ciągu 20-tu wieków; znaczy to dalej przebyć po raz drugi tę samą drogę dziejową aż po obecny punkt i potem po raz trzeci, czwarty, dziesiąty i tak bez końca a zawsze bezcelowo. Dzieje są niepowtarzalne i mają swój sens *wewnętrzny,* nietylko zewnętrzny — i ten sens wewnętrzny w interpretacji historjozofji katolickiej jest zaprzeczany. Historjozofja kościoła w interpretacji dziejów powtarza zaledwie heglowską tezę i antitezę z pominięciem wytwarzanych wartości dziejowych i urastającej świadomości i pojemności dziejowej, z pominięciem ciągłości dziejów z racji ich celu końcowego absolutnego. Widzimy, jak bardzo przekleństwo hegeliańskie bezcelowej djalektyki dziejowej zaciążyło nad myślą współczesną, że uległ jej nawet katolicyzm. Z drugiej strony widzimy jak bardzo potrzebną jest nowa filozofja dziejów odpowiadająca prawdzie historycznej. Prawdzie dziejowej może odpowiedzieć jedynie Prawo postępu, przez nie bowiem dzieje stają się niepowtarzalnemi. Prawo postępu jest przeto koniecznością dziejową i to Prawo postępu przy zakończeniu dziejów objawi się jako tożsame z Prawem Stworzenia, jak utrzymuje wrońskizm, czyli, że zasada wszelkiej prawdy zatwierdzi się sama przez się. Zaś Jedno i Drugie określić rozumowo jest zdolna jedynie filozofja absolutna, wrońskizm. O ile wrońskizm rzeczywiście = Prawo Stworzenia = zasada stwórcza wszelkiej prawdy, to wniosek jest prosty: *Kościół ażeby odpowiedzieć dziejom winien z konieczności wchłonąć w siebie wrońskizm i zostać przezeń zracjonalizowanym.*

Zostawiam na boku samo zagadnienie wrońskizmu jako filozofji absolutnej. Celem niniejszych wywodów było dać postrzec konieczność skonfrontowania katolicyzmu z wrońskizmem jako postulat chwili, gdyż ten ostatni orzeka o sobie jako o Prawdzie Absolutnej. [5])

„List otwarty" powyższy jest *apelem* do czynników miarodajnych katolickich, by zbadały warunki Prawdy Absolutnej wrońskizmu czyli albo zatwierdziły, albo zaprzeczyły, przy pomocy probierza „katolickość",— nie jest zaś samą tą próbą stwierdzającą.

Z głębokim szacunkiem

W. K. — Śląsk.

POSTULATY:

1. Sfery kat. (intelektualne: katedry i szkoły myśli społecznej) winny zaznajomić się z prawdą filozofji abs. Wrońskiego u źródła oryginalnego dzieł Wrońskiego albo w komentarzach, ażeby nie zasłużyć na zarzut, który stawiają przeciwnikom: quod ignorant, blasphemant.
2. Żeby ułatwić zaznajomienie się tych kół z prawdą wrońskizmu proponuję przesyłać stale numery „Zetu" odpowiedzialnym czynnikom i czasopismom katolickim z prośbą o dyskusję nad zagadnieniem Prawdy Absolutnej Wrońskiego. Dyskusja ta może pojawiać się w formie krytyki na łamach tych pism z równoczesnem zastrzeżeniem wyjaśnień i kontrkrytyki „Zetu". (Wymiana zdań).
3. Ażeby zbliżyć filozofję abs. Wrońskiego do katolicyzmu, należy czynić gruntowne studja tomistyczne. Sądzę, że właśnie szczytowe myśli tomizmu czy neotomizmu są bardzo pokrewne filozofji Wrońskiego. Np. teza: conservatio est continua creatio pomyślana jest zupełnie w duchu filozofji Kreacjonizmu absol. Wrońskiego; albo: de individualibus non est scientia zob. Prospectus Wr. „Li jedna rzecz zostaje mu (rozumowi) nieznaną, przynajmniej pod krępującemi go dziś warunkami światowemi: „INDYWIDUUM"; albo: percipi est esse = rozum stwórczy u Wrońskiego. To samo tyczy teologji ścisłej (Dogmatyka, De Deo uno et trino. Relacje itd.), (Warrain wybitnie zwraca uwagę na pokrewieństwo tomizm — wrońskizm).
4. Wskazać wartość wychowawczą dla nowego człowieka idei wrońskistycznych (samostworzenie!) wartość społeczną pojęć wrońskistycznych o moralności politycznej, sprawiedliwości społecznej, a przedewszystkiem wartość ujawnionego przez Wrońskiego celu obsolutnego ludzkości i historji.
5. Studja ekonomiki, socjologji i psychologji: prawa rządzące wartościami gospodarczo - społecznemi i wznoszeniem się świadomości człowieka w ciągu dziejów.
6. Wskazać na konkretność ideałów społecznych filozofji absolutnej jak np.: Ciało kierownicze, które to Ciało kierownicze trzeba związać ściśle z problematem dziejów, ze stworzeniem się własnem człowieka.
7. Wskazać konieczność postępów wiedzy (konkretnie) dla dobrobytu fizycznego i hiperfizycznego, wymierzonych w cel absol. ludzkości.
8. Uściślić program głoszonej idei, dlatego, że wciąż podnoszą się zarzuty braku programu.
9. Postulat pobudzenia twórczości katolickiej w kierunku filozofji absol. jest konieczny i absolutnie aktualny, gdyż kościół bez filozofji a filozofja (ta prawdziwa, absolutna) bez kościoła, zginie albo zostanie wypaczona.

---

3) Zob. Dzieła Wrońskiego, „Wiązanie metafizyczne". Warrain'a i inne.

4) Historjozofja kat. rozróżnia trzy okresy w dziejach kościoła: assocjacja, assymilacja i dysymilacja (dysocjacja). Obecnie jest okres dysocjacji.

5) Dziś jest może analogiczna chwila dziejowa, co za czasów Św. Tomasza z Akwinu, gdy napływała olbrzymia fala myśli starożytnej, arabskiej i żydowskiej w średniowieczu; obecnie zderzają się ze sobą i napływają także coraz-to nowe ideje, ideologje i światopoglądy, uderzając również i o światopogląd katolicki. W tej powodzi idej potrzeba nowej syntezy katolickiej, *by katolicka myśl mogła stać się aktualnie nowoczesna i twórcza.* (V. interesujący artykuł Ks. Rektora K. Michalskiego w Przeglądzie Powszechnym p. t. „Eros i Logos u Dantego" numery 11, 12, Rok 1935 i 2, Rok 1936).

Jeszcze o harmonice Skriabina (III)

(Dokończenie).

A więc jedynem, co Skriabin o swoich nowych tonacjach wiedział napewno, był ich ultrachromatyczny charakter. Uważał on, że to już jest w jego muzyce zrealizowane pomimo niesubtelności instrumentów i udowadniał to, grając po swojej 10-tej sonacie gamę chromatyczną. Istotnie interwale półtonowe wydawały się po jego muzyce olbrzymie. O dalszych cechach tych ultratonacyj wiedział on sam niewiele. *Nie ulega jednak wątpliwości, że miały to być tonacje.* Wspomniałem już (str. 5), że zachowuje on zasady tonacyjności. Obawiając się zgubienia w zbyt wielkiej komplikacji dla podkreślenia tonacyjnego charakteru swej nowej muzyki stosuje Skriabin do niej wszystkie metody techniki tradycyjnej. Stąd bardzo charakterystyczna dla jego twórczości cecha: nowość, oryginalność, ogromna komplikacja i tendencje ultrachromatyczne, o ile chodzi o najdrobniejsze składniki tkanki muzycznej, — o ile zaś chodzi o wyższe formy, połączenia harmoniczne, kontrapunkt, rozwój tematyczny, cechuje je wielka prostota, schematyzm i konserwatyzm. Stosuje więc Skriabin sekwencje, basso ostinato, kadencje, dba o zachowanie czterotaktowości, operuje trytonem analogicznie do stosunku tonika: dominanta w dawnej muzyce, opiera łączenie akordów i ich transpozycje na zasadach analogicznych do tej dawnej muzyki. Chociaż posługuje się prawie wyłącznie transpozycjami akordów podstawowych, zdaje sobie sprawę (jak można sądzić z jego licznych wypowiedzi) z tego, że akord syntetyczny bynajmniej nie wyczerpuje całej nowej tonacji. Nie wiedział jednak właściwie jakie dźwięki tę skalę wyczerpują i *ograniczają.*

Wierząc wszakże w niezawodność swej intuicji, rozpoczął już w tym ostatnim okresie próby twórczego, eksperymentalnego ustalenia tej skali. Działając znowu analogicznie do zasad dawnej muzyki, zaczął wprowadzać alterację akordów zasadniczych, mające wyrażać niejako „embrjony wpływów" melodji na harmonję. Są to akordy zawierające dźwięki, nie mieszczące się w serji alikwotów (patrz art. I), jak np. *c, fis, b, e, a, des,* z obniżonym 9 przydźwiękiem (por. drugą skalę w klasyfikacji dr. Lissy), *c, fis, b, es, a, d* (8 sonata) z obniżeniem 10 przydźwięku (por. 4 skalę wg. dr. Lissy) i t. d. Interpretacja tych akordów sprawiała trudności nawet Sabaniejewowi, który nie wie, czy ma je uważać za meliczną alterację akordu, czy też za próbę intuicyjnego oddania barwy dźwięków dzwonów, których analiza akustyczna jest bardzo złożona i wykazuje obecność bardzo wysokich przydźwięków, oraz kilku szeregów alikwotowych[16]).

Prawdopodobnie słuszne są oba wyjaśnienia. Dla oddania barwy tych dźwięków umyślnie posługiwał się Skriabin akordami, które różniły się od akordu zasadniczego, uważanego przez niego za konsonans, tonami zalterowanemi i *przez to stawały się „dysonansami".* Toteż podkreślając ich charakter dysonansowy, często rozwiązuje je (znowu transpozycja dawnych metod na nowy plan) w akord podstawowy.

Dalszy etap na tej drodze przedstawiają ostatnie dzieła, zwłaszcza op. 74, w którem wychodzi Skriabin śmiało poza akord podstawowy. Te nowe dla niego zasady dezorjentują badaczy i pozwalają uważać im te dzieła za czysto atonalne. Są to utwory zbyt małe, aby ich zbadanie mogło dać jednoznaczne wyniki, ale już a priori obok interpretacji atonalnej w równym stopniu jest usprawiedliwiony pogląd, że dopiero teraz zaczyna Skriabin operować *różnemi funkcjami harmonicznemi nowej ultratonacji,* oraz posługiwać się jej materjałem melicznym, wprowadzając nuty zamienne i t. d. Charakterystyczne dla ostatnich utworów zredukowanie poszczególnych akordów do bardzo niewielkich odcinków niezwykle utrudnia zbadanie do jakiego akordu podstawowego należą poszczególne współbrzmienia, uniemożliwia więc udowodnienie naszej interpretacji. Staje się ona jednak więcej niż prawdopodobna, o ile się uwzględni całą tendencję utworów poprzednich.

Śmierć przerwała Skriabinowi ten eksperyment i nigdy się nie dowiemy do jakich rezultatów byłyby go te próby doprowadziły. Zważywszy na to, że ultrachromatyzm jego, o ile miałby być w zgodzie z harmoniką alikwotową, sięgałby znacznie dalej niż skala ćwierćtonowa[17]), można wątpić, czy ustalenie takiej ultratonacji było wogóle możliwe. Nie przeczę, że Skriabin wszedł na drogę, która mogła doprowadzić do rozbicia tonacyjności wogóle, ale rozbicie byłoby nie oczekiwanym celem, lecz katastrofalnem fiaskiem, ponieważ twórczość jego miała być maksymalną afirmacją tonacyjności, wyciągnięciem ostatecznych konsekwencyj z wszystkiego, co przygotowały XVII—XIX wieki.

Cały ten skriabinowski eksperyment jest bardzo ciekawem i niezwykłem zjawiskiem. Gdyby się okazało, że znał on od początku teorję alikwotowo - ultrachromatyczną, moglibyśmy traktować jego twórczość jako wynik pewnego pedantycznego doktrynerstwa, coby też tłumaczyło wszystkie wady tej twórczości. Jest jednak sprawą o wiele ciekawszą, że eksperyment ten tworzył on intuicyjnie. Mamy więc przynajmniej jedyny w dziejach muzyki niewątpliwy dowód, że można wyczuwać intuicyjnie budowę alikwotową harmonji. Że odczuwał ją Skriabin nie ulega chyba wątpliwości. Ciekawem jest jednak zanalizowanie tego, jak my tę harmonikę słyszymy, i czy istotnie mamy taką samą zdolność intuicyjną do wyczuwania wyższych alikwotów i odpowiedniego korygowania nieścisłych brzmień fortepianowych.

Skriabin, Sabaniejew, Hull uważają akord prometejski za konsonans w znaczeniu, jakie ma to pojęcie w harmonice tradycyjnej. Dr. Lissa zarzuca Hullowi traktowanie tego akordu jako konsonans, zaznaczając, że w muzyce tego typu rozróżnianie konsonans-dysonans, zaczerpnięte z harmoniki tradycyjnej, jest nieistotne. Sądziłbym, że jest o tyle istotne, o ile chcemy zbadać zasady postępowania Skriabina i jego techniczne metody. Otóż i tu występuje charakterystyczne dla niego przenoszenie metod tradycyjnych na nowy grunt. Traktuje on akord syntetyczny jako współbrzmienie statyczne, niepotrzebujące rozwiązania. Inne natomiast współbrzmienia rozwiązuje właśnie w akord podstawowy.

Inaczej ma się sprawa, jeśli chodzi o objektywne zbadanie tego akordu z naszego „punktu słyszenia". Dr. Lissa stwierdza bardzo słusznie (op. cit. str. 349), że „istnieją jedynie różnice napięć w poszczególnych akordach, ale te różne stopnie napięcia energetycznego stanowią indywidualną treść przedstawieniową każdego z tych brzmień..., zupełnie zaś nie potrzebna jest zewnętrzna interpretacja tej treści w postaci „rozwiązywania" napięcia danego akordu. I tutaj mamy falowanie energetyczne, wzmożenie się i opadanie, ale ogólna linja wypadkowa całości *nie opada już nigdy poniżej pewnego poziomu napięcia"* (podkr. moje). Są to uwagi bardzo słuszne, jeśli chodzi o harmonikę Skriabina. Nie można jednak zaprzeczyć, że w innych typach muzyki współczesnej, wyzwolonej z tradycyjnej harmoniki, istnieją współbrzmienia statyczne np. akordy kolorystyczne w muzyce impresjonistów, nie posiadające żadnego napięcia energetycznego, pomimo, iż zawierają dysonansowe w rozumieniu tradycyjnem interwale, septymy, sekundy i t. d.[18]). Zachowajmy więc dla uproszczenia pomimo wszelkich wad, jakie ta terminologja może mieć, nazwę konsonansu dla takich akordów statycznych, dysonansu zaś dla współbrzmień dynamicznych. Ta dysonansowość wypływać będzie jedynie z genezy i ogólnego charakteru akordu, nie zaś z zawartości tych czy innych interwałów, względnie rozwiązywania tego akordu lub nie.

Otóż, jeżeli przyjmiemy to określenie dysonansu, musimy stwierdzić, że *wszystkie akordy Skriabina robią wrażenie dysonansowe.* Mamy tu pierwszą niezgodność naszego odczuwania z intencjami i prawdopodobnie z odczuwaniem samego Skriabina[19]). Charakterystyczną cechą tego dynamizmu jest, że nie wypływa on ze związków tonalno-funkcyjnych (jak w dysonansach tradycyjnych), bo związki te nie istnieją (w znaczeniu tradycyjnem) w muzyce Skriabina; nie wynika z ukształtowania całości utworu, względnie motywu podstawowego jak w muzyce atonalnej i linearnej. Przeciwnie, akord skriabinowski jest sam przez się, lub raczej *sam w sobie* dynamiczny. Faktu tego nie może wytłumaczyć teorja centrum brzmieniowego. Może to być tylko rezultatem teorji alikwotowej.

Nie wiem, czy w obecnem stadjum rozwojowem muzykalności odczuwalibyśmy doskonały, nieskażony przez temperację akord alikwotowy jako statyczny. W każdym razie to, co słyszymy u Skriabina, akordem takim nie jest. Zjawisko zaś poprawki akustycznej polega nietyle na słyszeniu innych dźwięków niż są zagrane, ile na *oczekiwaniu* tych dźwięków. Stąd, mojem zdaniem, wynika owo charakterystyczne dla akordów skriabinowskich *napięcie wewnętrzne,* polegające nie na dążeniu do innego akordu, lecz na tendencji ku pewnym wewnętrznym przesunięciom i klaryfikacji. Akordy te dadzą się porównać do zlekka zmąconego płynu, w którym wyraźnie się wyczuwa, że już, już się wyklaruje. Jest to jeden z najbardziej charakterystycznych przykładów owej „Innerspannung", o której wspomina *Achtelik*[20]). Gdyby struktura akordów Skriabina polegała na przypadkowem zestawieniu dźwięków, należących do centrum brzmieniowego, albo wynikała ze splotów polifonicznych, jak w technice linearnej, albo też miała na celu jedynie efekt kolorystyczny, jak w impresjonizmie, — dynamizm ten nie dałby się wytłumaczyć. Tylko budowa alikwotowa może wyjaśnić to niesamowite niekiedy pomimo przejrzystości i subtelności brzmienia napięcie wewnętrzne i ową „złożoność psychologiczną" harmonij skriabinowskich, które dzięki temu tak bardzo się różnią np. od lapidarnych akordów Prokofjewa, lub „bezpłciowości" harmonicznej atonalistów.

Tłumaczenie powyższe jest pewną hipotezą, której słuszność zależy od tego, czy możemy twierdzić, że wyczuwamy budowę alikwotową akordów, gdyż tylko w tym wypadku czulibyśmy niedokładność akordów skriabinowskich, rezultatem której miałaby być owa „Innerspannung". Nie można w tej sprawie powiedzieć nic kategorycznego; jest to zapewne indywidualne, tak jak indywidualna może być wogóle recepcja muzyki Skriabina. Jest jednak faktem chyba pewnym, że budowę tę bezpośrednio słuchem odczuwał sam Skriabin, i to jest sprawą bardzo interesującą dla psychologji muzyki.

Daleki jestem od twierdzenia, że harmonję należy wyprowadzać wyłącznie z szeregu alikwotów. Przeciwnie, sądzę, że interpretacja alikwotowa nie jest w stanie wytłumaczyć nawet wielu faktów harmoniki tradycyjnej, przedewszystkiem akordów minorowych, o ile do niej nie dołącza się dowolnych założeń dodatkowych, jak to czynią np. Oettingen i Riemann. Uważam jednak szereg alikwotowy za *jeden ze składników* tych zjawisk psycho-fizycznych, rezultatem których jest nasze odczuwanie współbrzmień dźwiękowych, za składnik, należący do dziedziny *fizycznej.* Jest więc faktem godnym zanotowania, że Skriabin, którego celem była maksymalna „dematerjalizacja" sztuki (i wogóle Wszechświata[21]), oparł całą swoją muzykę na najbardziej materjalistycznej teorji harmonji, wyprowadzającej akordy jedynie z własności akustycznych brzmiącego ciała. Cechuje to wogóle mentalność mistyczną, iż jest ściśle związana z kategorjami sensualno-materjalistycznemi. Mistycy nie pojmują czystej nierozciągłej Psyche, kartezjuszowskiej „res cogitans" i nawet owe stany najwyższe, do których dążą, wyobrażają sobie jako bytowanie substancjalne, składające się jedynie z jakiejś subtelniejszej materji. Przy koncepcjach mistyczno-kosmicznych Skriabina występuje to najwyraźniej, jest może jednak także kluczem do zrozumienia podstaw jego muzyki.

Konstanty Régamey.

---

15) Por. mój artykuł „Skriabin w perspektywie dwudziestu lat", („Muzyka", nr. 3—4, 1935, str. 60—64), gdzie wykazuję, że Skriabin był właściwie konserwatystą, gdyż nie wprowadzał nowych zasad, lecz doprowadzał do ostatniej konsekwencji z niezwykłą, trzeba przyznać, śmiałością, zasady stare. Dlatego, pomimo całej zawrotności perspektyw ultrachromatyczych nie zrywał z zasadą tonacyjności.

16) Do tych *kolorystycznych* akordów, naśladujących dzwony, gongi i t. p. zaliczyć trzeba zwłaszcza takie współbrzmienia jak *A-dis-b-e-g-c'* (6 sonata), *Eis'-H'-Fis-d-fis-dis'* (9 sonata) i t. d.

17) Byłaby to jakaś selekcja tonów. przedstawiających nawet ogromnie małe ułamki tonu, ale nie mająca równocześnie niektórych nawet mniej subtelnych dźwięków.

18) Por. mój wspomniany artykuł w „Muzyce", str. 63, 64.

19) Sabaniejew, który dawniej w swej książce przedstawiał akord prometejski jako konsonans, zgodził się niedawno w rozmowie osobistej ze mną, że akord ten jednak zachowuje charakter dynamiczny.

20) „Der Naturklang als Wurzel aller Harmonien", Lipsk, 1922, t. I. str. 137.

21) Por. mój artykuł „Człowiek, który chciał zniszczyć Wszechświat", „Prosto z Mostu", Nr. 12, 25. III. 1935.

Sprostowanie. W artykule tym, w poprzednim numerze, opuszczono jeden odnośnik: n-rowi 10) ma odpowiadać uwaga: „Sądził błędnie np., jak zresztą wielu muzyków, że *cis* jest wyższe od *des*". W następnych odnośnikach została pomylona numeracja, którą należy skorygować w ten sposób, że n-rowi 11 odpowiada odnośnik 10, n-rowi 12-mu — odnośnik 11 i t. d. Odnośnik 14 w tamtym numerze należy skreślić.

O niektórych złudzeniach Rudolfa Carnapa (V)

(Dokończenie).

Wprost jednak przeciwne stanowisko zajmuje nasz autor w kwestji racjonalności cudzej psychiki. Carnap widzi oczywiście, że zależnie od tego, czy drugim osobowościom przyznajemy istnienie realne czy też urojone w naszej wyobraźni, będzie zupełnie inne stanowisko nasze wobec drugich osób. Jeżeli bowiem, jak zaznaczono wyżej, drugie osobowości mają być jedynie tylko urojone, to oczywiście z tego możnaby wysnuć wniosek, że możemy drugich bez żadnych skrupułów torturować i zabijać. Ażeby uniknąć podobnej konsekwencji, Carnap postępuje tu akurat w zupełnie odwrotny sposób, niż w wypadku pierwszym, gdy chodziło o dwóch geografów i realność rzeczy fizykalnych. — Gdy w tym ostatnim wypadku Carnap z naszego działania i zachowania się wysnuwał teoretyczne wnioski, tu aby ujść konsekwencji, któraby była w sprzeczności zupełnej zarówno z obowiązującą etyką jak i ze zdrowym rozsądkiem, Carnap twierdzi, że wszelkie zachowywanie się nasze wobec drugich osób, jest kwestją tak zwanego wczuwania, które nie jest poznaniem i nie ma żadnej teoretycznej zawartości (gibt nichts an theoretischem Gehalt). Jest ono zdaniem jego tylko działaniem, zapomocą którego osiągamy styczność z drugą osobą i dlatego doprowadza ono nas do pewnego praktycznego „nastawienia" wobec drugich. To zaś jest jedynie według Carnapa kwestja praktyczna a nie teoretyczna. Wchodzą tu bowiem jak twierdzi on — w grę wartości etyczne, które jednak według niego nie mają nic wspólnego z kwestją prawdy i fałszu.

Gdy zatem w kwestji realności rzeczy martwych na podstawie identyczności naszego postępowania, niezależnie od naszych przekonań teoretycznych Carnap wyciągał wniosek, że pytania odnoszące się do idealizmu czy też realizmu są pozbawione sensu, to w kwestji realności cudzej psychiki Carnap twierdzi, że nasze działania zewnętrzne, które mogą być wypływem naszej wiary czy też niewiary w realność cudzej osobowości, nic mogą mieć żadnego wpływu na zagadnienie poznania. Brnąc dalej w tych niekonsekwencjach, Carnap musi wypędzić z nauki te wszystkie działy ludzkiej umiejętności, które jak np. historja, usiłują odtworzyć z pewnych przestrzennych tworów, jakiemi są wszelkie źródła i dokumenty historyczne, przebieg pewnych procesów psychicznych, zachodzących w całym szeregu osobowości.

Do takiego zupełnie błędnego ujęcia sprawy przyczyniła się niewątpliwie u Carnapa ta skłonność jego umysłu, którą możnaby nazwać ciężko ukutym wyrażeniem „szufladkomanja". Nic innego, jak tylko ta szufladkomanja wpłynęła na to, ze nasz filozof dzieli całą umysłowość ludzką na rozmaite kawałki, poczem kawałki te umieszcza w osobnych szufladkach i nalepia na nich pewne etykiety. — Gdy jakiegoś kawałka nie może spocządku tak wykroić, aby on do danej etykietki w zupełności przystawał, to Carnap i jego zwolennicy tak długo kawałek ten preparują, dopóki nie wyrzucą z niego wszelkiej niepożądanej dla nich resztki i dopóki on do sztucznie naklejonej etykietki w zupełności się nie dostroi.

Gdy Carnap zupełnie dowolnie określił poznanie jako pewnego rodzaju sprowadzenie wszystkiego do pewnych elementarnych wrażeń danego podmiotu, to musiał wyrzucić z poznania wszystko, co z tą definicją nie było w zgodzie. — A i tutaj jeszcze Carnap postępuje niekonsekwentnie, gdyż jest rzeczą jasną, że przyporządkowanie, sprowadzanie i t. d. również są pewnego rodzaju działaniem i że wogóle cała nauka jest pewnym procesem myślowym, a zatem również pewnego rodzaju działaniem. Nauka nie jest tworem statycznym, lecz jak każda również inna sfera działalności ludzkiej jest pewnym procesem dynamicznym i rozwojowym.

Rozróżnienie pomiędzy nauką a działalnością, teorją a praktyką, pochodzi z życia codziennego. W życiu codziennem przeciwstawiamy uczonego, żyjącego w kontemplacji i nie biorącego czynnego udziału w otaczającem go życiu, człowiekowi czynu, mężowi stanu czy też wodzowi. Podział ten jednak jak wszystkie inne podziały, wzięte z życia codziennego, jest nieścisły i nie oddaje dobrze istoty zjawiska.

Praca uczonego jest również działaniem tak samo, jak działalność wodza czy też męża stanu. Tylko zakres działalności uczonego jest inny, niż tak zw. człowieka czynu.

Należy stanowczo stwierdzić, że cała osobowość ludzka jest pewną jednością, której nie można kawałkować na cząsteczki i wkładać do oddzielnych szufladek.

Dla Carnapa pytania matki, czuwającej nad chorem dzieckiem i lekarza pielęgnującego go, czy dziecko rzeczywiście cierpi, są pytaniami bez sensu. Podobnie również pytanie wychowawcy, zastanawiającego się nad tem, jakie walki i wzburzenia psychiczne przechodzi dusza jego wychowanka. Tak samo również pytanie psychjatry, który chce rozstrzygnąć, jakie kompleksy psychiczne stworzyły obraz chorobowy pacjenta, który jest przedmiotem jego opieki. Carnap twierdzi, że to są wszystko pytania bezsensowe, mogące mieć jedynie tylko praktyczne znaczenie.

Pozostaje już sprawą samego Carnapa rozstrzygnąć, w jaki sposób oczywisty zdaniem jego bezsens i niedorzeczność, mogą być treścią życia wszystkich niemal ludzi. Boć przecież kwestja realności cudzych przeżyć: bólów, cierpień, radości, dążeń i pragnień, jest kwestją w życiu ludzi i ludów najistotniejszą. Z wywodów Carnapa możnaby wnosić, że cała ludzkość żyje właściwie w jednym wielkim bezsensie. Sądzićby można było, że Carnap znajduje się w wielkim kłopocie względem nauki historji. Jeżeli bowiem możnaby z trudem podtrzymać twierdzenie, że poznanie cudzej psychiki osób współczesnych nie ma żadnego teoretycznego znaczenia, tylko znaczenie praktyczne, gdyż może wpłynąć na nasze względem nich postępowanie, to należy zapytać, jakie znaczenie praktyczne może mieć dla Carnapa badanie realności procesów psychicznych, które zachodziły w ludziach zmarłych przed tysiącami lat, którym postępowanie nasze żadnej korzyści ani szkody przynieść nie może. — Carnap chcąc uniknąć tej konsekwencji, zmuszony jest rzucić niczem nieudowodnione, ryzykowne twierdzenie, że historja nie jest nauką, tylko działalnością praktyczną, służącą do wzbogacenia życia przez umiejętność wczuwania się w cudze psychiki. Tak, jakby koniec końcem wszelka nauka jakiejkolwiek bądź gałęzi, nie służyła również do wzbogacenia życia. Carnap zapomina tutaj, że historja, o ile chce być nauką, nie może mieć wyłącznie praktycznych celów na oku, i że powinna starać się, być taką samą umiejętnością, jak wszystkie inne, w tem znaczeniu, że celem jej powinno być tak, jak i celem wszystkich innych nauk, wykrycie rzeczywistych związków pomiędzy zjawiskami. — Tylko metoda, którą dochodzi do wykrycia tych związków historyk, oraz sama natura tych związków, są inne, niż metody, któremi posługuje się przyrodnik, opierający się na matematyce, i na tych związkach, które dają się ująć w pewne ilościowe schematy.

Bez tego jednak celu najwyższego, jakim jest wykrywanie rzeczywistych związków zachodzących pomiędzy zjawiskami, nauka historji przestałaby być nauką, a stałaby się tylko narzędziem w walce politycznej, tak, jak to się niestety nieraz dzieje.

Jak widzimy, Carnap zwęża w niesłychany i dowolny sposób granice nauki i wyrzuciwszy z niej w ten sposób wszystkie sporne i nierozwiązane zagadnienia, może następnie z dumą stwierdzić, że przed nauką niema żadnych tajemnic i wszystkie zagadnienia są dla nauki rozwiązalne.

W ten sposób całe twierdzenia Carnapa o bezsensowności zasadniczych problemów filozoficznych, okazują się same bezsensowne i oparte na zupełnie dowolnych założeniach.

Skrytykowawszy w ten sposób zasadnicze twierdzenia Carnapa i odmówiwszy im słuszności, nie chciałbym jednakże wzbudzić mniemania, jakobym niedoceniał ogromu trudu wniesionego przez Carnapa w budowę jego gmachu filozoficznego, jakobym nie widział dodatnich stron jego pracy.

Wyżej mówiłem o rzetelności Carnapa a tą cechę jego umysłu i w zakończeniu chciałbym jeszcze podnieść. Jak wyżej zaznaczono, niema u niego wielu skoków myślowych i stara się on z pewną naogół konsekwencją zbudować na podstawie swoich założeń gmach teorji poznania. — I jeżeli prawdą jest, że gruntowne „wygolenie" przez Carnapa starą brzytwą Occama wielu najistotniejszych problemów filozoficznych, musimy uznać za zupełnie chybioną operację, to z drugiej strony musimy powitać z uznaniem jego walkę, prowadzoną z zachwaszczeniem myśli filozoficznej przez rozmaitę tandetne metafizyki, których twórcy mają nieraz niejasne i zgoła niefilozoficzne cele na oku. Wprawdzie Carnap idzie za daleko, zwalczając z dziką zawziętością wszelką metafizykę i ontologję, należy mu jednak przyklasnąć, o ile zwalcza rozmaitych ciemnych filozofów, których te, czy inne aluzje polityczne są nieraz nazbyt widoczne. Dlatego, chociaż musimy odrzucić stanowczo zasadnicze tezy Carnapa, to niewątpliwie musimy uchylić czoła przed pracą, którą włożył w swoje dzieło i przed wielką rzetelnością naukową jego myśli.

Adam Stawarski.

Pierścień wielkiej damy

I.

Ktoś gdzieś napisał, z racji wystawienia po raz pierwszy Norwida w „Reducie", że wielki nasz teatr narodowy musiał w Polsce odrodzonej jako państwo... zejść do katakumb. Niewątpliwie to tylko zbieg okoliczności, że „Reduta" mieści się w podziemiach Ubezpieczalni Społecznej i że właśnie tutaj przemówił Norwid po raz pierwszy do zblazowanych warszawskich snobów. Ale z poza niedbale udrapowanego przypadku jakże często uśmiecha się swoją sfinksową nieruchomą maską SYMBOL.

To pierwsze spotkanie *tych dwojga*, jego, wygnańca poza nawias epoki, oskarżonego o obcość, enigmatyczność i nadziejowość, i jej, zaaferowanej realnością spraw codziennych, tysiącem spraw bieżących, oficjalnością konwenansu i akcją charytatywną w komitetach dla bezrobotnych — było proste i też jakby przypadkowe. Nasza publiczność premjerowa, Warszawa, Polska współczesna poszła na Norwida. tak mimochodem, pomiędzy kawiarnią, a przyjęciem dyplomatycznem. Bo to bądźcobądź... Norwid, o którym się już mówi i pisze. Norwid zaciekawiający niezrozumialstwem, osławiony pieniactwem procesowem Miriama, lekceważony przez jednych, otoczony kultem nieomal boskim przez drugich.

I cóż. Okazuje się, że tego Norwida „przyjemnie" się słucha, że to ma swój oryginalny, swoisty urok, że nawet śmiać się można, jak na komedji papy Fredry i że to wszystko razem nie jest wcale takie t r a n s c e n d e n t a l n e i takie trudne. Duża w tem doza snobizmu, że się *rozumie* Norwida; dużo zachwytu sztucznego, bo już do tego doszło, że zachwycać się wypada(!); i dużo sytego zadowolenia, że można z tym księżycowym gościem tak poufale, można poklepać go po ramieniu w recenzji gazetowej i powiedzieć, ze wzruszeniem ramion, że to ostatecznie... „nic takiego".

Tak wygląda to pierwsze ich spotkanie: jej, wielkiej pani, Polski XX-go wieku i jego, ubogiego kuzyna, o którym mówiono kiedyś, że „obłęd cierpi", i na którego, pośród tylu ważnych spraw nawału, nawet niesposób było zwrócić uwagę. Taki jakiś niezrozumialec, Mag X, wielka niewiadoma...

Ja
W Epoce tej... w dziewiętnastym wieku
Nie raczyłem w zręcznościach się ćwiczyć.
— — — — — — — — —
Czemu?... niech ZROZUMIE... kto jest
W STANIE!

II.

Ah, prawda, nie pierwszy raz w Polsce. Horzyca we Lwowie wystawił misterjum „Wanda". Żałuję, że nie widziałem tej pięknej imprezy, bo norwidowe misterja, to — zdaniem mojem — szczyt jego twórczości dramatycznej. Dobrze jednak, że w Warszawie rozpoczęto od „Pierścienia wielkiej damy".

(Dygresja. Było to może bolesnem, że właśnie około Norwida, mistrza przemilczeń, trzeba było wszcząć hałas i potykać się z Miriamem na sądowej sali. Ale owe trzy tomy „Ineditów", opublikowanych pod naciskiem procesu i opinji, są usprawiedliwieniem i rekompensatą. Wśród nich „Pierścień wielkiej damy" stanowi klejnot najwyższej ceny).

W katakumbach „Reduty" Osterwa odnajduje sam siebie. Tu zapomina się o wszystkich do niego żalach, o tem co mógł zrobić, a czego nie zrobił dla polskiego teatru monumentalnego, tego, który pod maską przemilczeń ukrywa w sobie rewelację wartości *nadprzyrodzonych*. Nad inscenizacją „Pierścienia wielkiej damy" pracowano kilka miesięcy, z pietyzmem godnym najwyższego uznania.

Okazuje się, że prawdziwe arcydzieła nie potrzebują bynajmniej tego, tak modnego spiętrzenia środków technicznych, tej orgjastycznej oprawy dekoracyjnej, której wymyślność idzie w parze z przeładowaniem, ze szkodą n. b. dla tekstu, dla walorów *słowa*... Sugestję środowiska stworzono w „Reducie" środkami minimalnemi, w warunkach wyjątkowo niekorzystnych. Zrobiono przytem wszystko, by uwypuklić *właśnie tekst*, właśnie słowo, a nawet to, najtrudniejsze, bo wagę *przemilczeń* norwidowych. Swoją drogą można było właśnie *na tem* zaobserwować dystans i klasę sztuki aktorskiej. Umiarkowana w środkach gra, gestykulacja i wymowa Osterwy umiała wycieniować i podkreślić naturalnem pauzowaniem te głębsze tła i przemilczenia, wywołując to, co jest specyficznością Norwida: konieczność i możność *współtworzenia* widza (słuchacza) z autorem dzieła. Innym artystom nie udało się tego osiągnąć; w każdym razie nie w tej mierze.

Problem realizmu. Mam duże zastrzeżenia co do tej religji realizmu scenicznego (np. w zakresie rekwizytów), którą celebruje i propaguje Osterwa, jako inicjator teatralny i reżyser. Zwłaszcza na terenie wielkiego, polskiego repertuaru *jestem za konwencją*. Taki np. Wyspiański ze swą absolutną abstrakcją od konkretów i faktów poszczególnych, przechodzącą w *ponadczasowy jakiś teatr sam w sobie*, prototyp wszelkiego działania się,—jest jaknajdalszym od rekwizytorni realistycznej. W tym jednak wypadku fanatyczny, ultraskrupulatny realizm Osterwy utrafił w sedno. Może dlatego, że Norwid sam walczył namiętnie w swej sztuce o łączność transcendentu z ziemią, o wcielanie, ucodziennianie idej, o bryłowatą, namacalną plastykę wizji artystycznej. Tutaj więc te meble-autentyki, te świeczniki i ten pierścień z brylantem prawdziwym, zdają się być na swojem miejscu.

III.

„Co do moralnego zadania, mniemam, iż strona święta, budująca, religijna starożytnej Tragedji nie ustała wcale, ani może ustać..." Niejeden z pośród widzów, — tych nieczytanych i niewmyślanych w Norwida — mógł zapewne utknąć na tem zdaniu ze „Wstępu autora" i zadać sobie zdziwione pytanie, czy i niniejsze widowisko zaliczyć winien do tragedji tego typu. „La haute comédie" — może. Każdy przeciętnie subtelny widz dostrzega tu, poza skorupą umyślnego „białego" melodramatu, nić myśli zawoalowanej, ciągnącej ku prawdzie niewysłowionej, jak owa przędza Don Kichota z wiersza „Epos nasza". Ale, gdzie tu szukać istoty owego z b u d o w a n i a, w którem upatruje Norwid świętość i moralne zadanie sztuki?

Odpowiedź zrazu trudna. Fabuła, niepokój dramatyczny, obnażenie ran i śmieszności epoki, cała ta satyra na wygasłość, obumarłość, pseudo-chrześcijanizm, groteskowy konwenans, wydaje się nazbyt prosta i łatwa. A przecież pisze autor w przedmowie: „Tak przynajmniej zdaje się, że być winno, skoro ma to być periodem *obejrzenia - się - społeczności* całej i z jej najsłuszniejszej wyżyny na samą siebie". A czy możemy przyznać, że w sztuce tej epoka współczesna — czy ówczesna — i „cywilizacyjna - całość - społeczna, jakoby ogólnego sumienia zwrotem, pogląda na się"?... Otóż śmiem zaprzeczyć. Jeżeli Norwid miał ten zamiar, to go nie osiągnął. Urzeczywistnił za to co innego: *zbudował siebie* i swoją „białą tragedję", jaknajboleśniej intymną, w starciu z epoką. Dlatego mimo pozorów powściągliwego, aż za chłodnego objektywizmu, jest to skamieniały wybuch liryzmu, zwierciadło nieskazitelnej subjektywnej tragedji poety. Poznajemy smutnego dandy salonów, tego, co to bywał na przedmieściach wiecznego Jeruzalem, lecz na tej planecie arcy-praktycznej zaaklimatyzować się nie umiał, przypominamy sobie panią Calergis, marmurową, niedoścignioną kochankę i pannę Trembicką o wschodnim nieco typie, która miała zastąpić tamtą w sercu, a może tylko w życiu doczesnem. Znajome nam tu wszystko: i brat - głód z poddasza i siostra - podróż, która go miała salwować aż na drugi kontynent, do Ameryki. Czujemy i rozumiemy tak wiele. I jest w tej przerafinowanej aż auto-ironji coś, co wzrusza dogłębniej, niż słowa przyciszone Mak-Yksa i przebudzenie się p r a w d y w roztargnionym marmurze i dyskrecja przemilczeń i wielowarstwowość znaczeń.

I jeśli jaki w tem objektywizm, to chyba nie zwierciadło jednej epoki, lecz rys powszechnej, planetarnej tragedji, powstającej zawsze i wszędzie tam, gdzie się przetnie myśl i dążenie nad-ludzi *z tamtej strony* z myśleniem trywialnem i dążnością arcy-praktyczną *z tego świata*. Królestwo ich nie stąd jest, o nie! (a mam tu na myśli nie Mak-Yksów nawet, lecz poprostu... Norwidów). Jedyny motyw treści, jaki się tędy przesnuwa, jest ten: Czy jest Bóg nad tem igrzyskiem i czy przyjdzie z Nim „Sąd Ostateczny świata tego"?

Jakiż jest bowiem Słowa cel i arcydzieło,
Jeśli nie to: by ludzkość wszelaką przyjęło,
A dotrzymało boskość...

(Z „Rzeczy o Wolności słowa").

J. B.

Czasopisma nadesłane

Bunt Młodych (r. VII, nr. 3) Lewiatan w konfederatce; Kaz. Sołtysik: Kościół jest nasz; Al. Bocheński: Ludzie muzealni; St. Kisielewski: Pokłosie muzyczne; A. M. Bocheński: Dlaczego nie chcemy bronić Locarna?; K. Rajsfeld: Żydzi szukają drogi wyjścia; P. Zdziechowski: „Du bist nichts — dein Volk ist alles".

Biuletyn Polsko-Ukraiński (r. V, nr. 13) M. Dańko: Kryzys Locarna a sprawa narodów uciemiężonych w Z. S. S. R.; Tad. Michalski: Ze wspomnień (1910—1916); O. Borowiecki: Jana Szczęsnego Herburta „Zdanie o Narodzie Ruskim"; Język ukraiński w U. S. S. R.

Awangarda Państwa Narodowego (r. XIV, nr. 3) Z. Wojciechowski: Nacjokratyzm, czyli rządy sejmikowe; K. Hrabyk: Ideologja „Przeglądu Wszechpolskiego" (1895—1905); A. Wojtkowski: Życiorysy zasłużonych Polaków w XVIII i XIX w. Kronika polityczna (Krystalizacja nacjonalizmu polskiego, Expose p. premjera, Sprawa uboju rytualnego, Na odcinku młodzieży, Polska a położenie międzynarodowe, Nacjonalizm japoński, L'Action Française, Zwycięstwo frontu ludowego w Hiszpanji); Z ruchu umysłowego; Głosy.

Chowanna (r. VII, z. 3) H. Rowid: Wychowawca i młodzież. Z zagadnień psychologji międzyindywidualnej; St. Bańcer: Geneza autorytetu i jego rozwój; Recenzje i sprawozdania; Współczesny ruch pedagogiczny.

Polonista (r. VI, z. 1) dr. Leon Langholz: Dydaktyka literatury polskiej a metodologja badań literackich; T. Parnowski: Gazetka ścienna; dr. J. Hełm-Pirgowa: Metodyka ćwiczeń redakcyjnych; J. Szelejewski: Ćwiczenia słownikowe w szkole powszechnej; dr. J. Gołąbek: O czytankach polskich dla 1 kl. gimnazjum; Sprawozdania i oceny.

Kamena (r. III, nr. 7) T. Bocheński: Język substancją piśmiennictwa; A. Madej: Rok 1918; L. Świeżawski: Legenda; Z. Popowski: Pieśń o zatopionych okrętach; S. Pollak: O gałązko...; A. Rzeczyca: Aproksymacje; W. Podstawka: Marsz podróżny; J. Witt: Z cyklu „Ciało i Kraty"; K. A. Jaworski: Wiosna daleka; T. Szewczenko: Poezje; S. Kułakowski: Z poezji łotewskiej; K. A. Jaworski: Spolszczenia z poezji łotewskiej; Z. Waśniewski: Z nadesłanej prozy.

Pion (r. IV, nr. 16) A. Uziembło: Zamierzenia i środki; Tad. Łopalewski: Kabała; L. Piwiński: W ostatniej chwili; F. Araszkiewicz: Nowa serja listów Bolesława Prusa; J. St. Bystroń: Próby podtrzymania dawnej kultury ludowej; A. Diveky: Zgon przyjaciela Polski; J. Kott: Przekłady; J. Marlicz: Podróże i przygody; J. Szpecht: Popularyzacja wiedzy; A. Czyżewski: Harcerstwo; St. Furmanik: Muzyka; B. Korzeniewski: Teatr; W. Bąk: Przegląd prasy.

Głos (r. VI, nr. 14) Polska czerwienieje; J. Bielatowicz: Rewolucja konstruktywna (artykuł dyskusyjny); A. Marcinkowski: Reduty: Wilno i Podole; K. H. Rostworowski: Przeprowadzka (c.d.); Z. Bednorz: Wiersz; A. Rogalski: Nowa praca o Przybyszewskim; J. Nowicki: Pod światło; Kronika krakowska.

Z prasy czeskiej

W piśmie „Narod" z 18 marca b. r. pisze dr. Josef Kuczera, w artykule p. t. „Młodzież woła o słowiańską współpracę":

„Mowa Hitlera poruszyła wszystkie okoliczne państwa. Poruszyła i społeczeństwo polskie, które widzi, że pewnego dnia może też nastąpić zerwanie paktu polsko-niemieckiego. W Polsce obecnie dają się słyszeć głosy nawołujące do baczności we współpracy z Niemcami. Jeśli zaczepność Rzeszy Niemieckiej natrafiła na przeszkodę przy swym wypadzie za zachód, naturalnem jest, że się rzuci na miejsce najmniejszego oporu. W tym wypadku Polska i Czechosłowacja będą na pierwszem miejscu.

Co do groźby niebezpieczeństwa niemieckiego niema dziś żadnych wątpliwości. W Teatrze Narodowym (w Pradze) grają obecnie ostrzegawczą sztukę Jiraska „Gero", w której dowodził on, że psychika niemiecka w zamierzchłych czasach była ta sama co i dziś: Gero rozszerzał swe panowanie nad Słowianami za Łabą i aby wymordować trzystu wodzów plemion słowiańskich, zwabił ich do siebie w gościnę obietnicą pokoju i przyjaźni. *Brak jedności i współzawodnictwo Słowian ułatwia dzieło germańskie.*

Jirasek mówi dla doby dzisiejszej. Zajrzał do głębin duszy słowiańskiej i odkrywając ją w tragedji Słowian nadłabskich, pokazuje dokąd zaprowadzić może niezgoda słowiańska. Jeżeli więc w naszych teatrach gra się dziś takie sztuki jak „Gero„ i „Jan Žižka", jest to dowodem, że coś się zaczyna u nas dziać, że sobie uświadamiamy rozmiar niebezpieczeństwa germańskiego.

Młode Zjednoczenie Narodowe wywołało przed rokiem wielki ruch, który doprowadził naród do zrozumienia, że przy jedności i współpracy wszystkich twórczych sił, naród i państwo mogą wybrnąć z materjalnego i duchowego nieładu. Osiągnęliśmy wielkie zadośćuczynienie, ponieważ obecnie przedstawiciele różnych stronnictw narodowych i kierunków nienarodowych mówią o potrzebie nacjonalizmu. I znów jest to zasługą młodzieży, która w wielkich proklamacjach ostrzega przed niemieckiem niebezpieczeństwem i prowadzi naród, często wbrew woli wielu innych, do poznania, że bez karności, odwagi i myśli organizacyjnej nie można oczekiwać lepszej przyszłości. W czasopiśmie „Zjednoczenie Narodowe", w artykule „O potrzebie współpracy Europy środkowej" wspomniałem o tem, że nadchodzi *wielka doba słowiańskiej współpracy*. Przeciwko przemocy germańskiej tworzy się silny blok państw słowiańskich.

Młode Zjednoczenie Słowiańskie urządziło w czwartek dn. 19 marca o godz. 8 wieczór zbliżenia czesko-polskiego w Związku urzędników cywilnych, Vinohrad, Francuska 4. *Przeświadczenie o konieczności współpracy wszystkich szczepów słowiańskich i o konieczności zbliżenia się narodów, mających wspólne posłannictwo i zadania, pochłania młodzież, nie obciążoną doczesnemi, ciemnemi intrygami politycznemi, lecz oczekującą lepszej przyszłości Słowiańszczyzny.* Jesteśmy generacją młodego, wolnego państwa, które posiada wszelkie możliwości, aby stać się przednią strażą Słowiańszczyzny w tak doniosłej dobie historycznej. Młodzież D-ra Kramarza musi wywołać zrodzenie nowych nadziei na *wielką ideę słowiańską*. W tym celu przygotowujemy zbliżenie duchowe. Każda myśl twórcza jest życiodajna. Za chlebem duchowym z konieczności idzie też chleb ziemski. Młodzież w to wierzy. Nikt wiary tej zabrać jej nie zdoła. Należy przecież pamiętać o tem, że w młodzieży jest siła i odwaga, którą ona lepiej wprowadzi w życie, niż ci, co nie mają ani wiary, ani siły!"

Myśl autora o konieczności zjednoczenia wszystkich narodów słowiańskich jest całkiem słuszna, z tą jednak poprawką, że Słowiańszczyźnie—i całej Europie środkowej — zagraża dziś nietylko niebezpieczeństwo germańskie, wojujące zgubną i antychrześcijańską doktryną rasizmu, lecz również niebezpieczeństwo sowieckie, które pod maską obłudnej współpracy z Ligą Narodów i perfidnej taktyki Frontów Ludowych, niesie zagładę prawdziwej demokracji i nieśmiertelnych wartości duchowych cywilizacji klasyczno-chrześcijańskiej. *Wielką misją Słowiańszczyzny jest dziś obronić duszę człowieka i ludzkości przed obydwoma temi prądami wywrotowemi i wznieść wysoko sztandar nowej, uniwersalnej, odradzającej świat idei.*

* * *

„Narodni Listy" z 7 kwietnia b. r. zamieszczają, w notatce zatytułowanej znamiennie: „Droga do Polaków", następującą wiadomość:

„Literatka A. Jiraskowa-Peskowa wygłosiła w Klubie Polskim, a przedtem w Kole Młodego Narodowego Zjednoczenia na Vinohradach odczyt o stosunkach czechosłowacko-polskich. Wskazywała na to, że w Polsce jest bardzo wielu, którym ciąży na sercu to, że polityka negacji pozornie oddala oba narody od siebie, usiłując pogłębić przepaść między niemi i że właśnie dlatego należy nawiązywać do tych prądów duchowych i współpracować z niemi dla lepszej przyszłości obu państw słowiańskich.

Zwłaszcza należy zdala od wszelkich niesnasek politycznych, podtrzymywać stosunki kulturalne, które są najpewniejszem zabezpieczeniem idei przyjaźni narodów słowiańskich. Należy odróżniać wpływy obce, niesłowiańskie i antisłowiańskie, które wchodzą w drogę tym dążnościom. *Filozofja słowiańska polskiego myśliciela Hoene-Wrońskiego oświetla drogę wspólnego pokoju.* Należy wyśledzić punkty styczne, jest ich bardzo wiele. Polska polega bardziej na własnych siłach, niż na efemerycznej pomocy Ligi Narodów, idzie ona dziś drogą własną. Nie jest to jednak droga, na której moglibyśmy się spotkać. Berliński pakt nie zaślepił wprawdzie Polaków zgubnem zaufaniem. Polacy znają swego nieprzyjaciela. *Zdecydowani są bronić się zarówno przed niebezpieczeństwem bolszewickiem jak i przed hitleryzmem.* Rozdział więc polega tylko na tem, że *my budujemy na niepewnych fundamentach w oparciu o Rosję sowiecką, która pozostaje niebezpieczeństwem dla całego świata;* chociażby z nędzy ukrywała nawet czasowo swe właściwe oblicze, wkońcu zmierzy ku „nowej" polityce. *Tylko w ścisłej łączności z Polską zabezpieczymy swoją wolność, swe Państwo.*

Odczyty p. Jiraskowej - Peskowej, która dobrze zna stosunki polskie z dłuższego pobytu we Lwowie i która współpracuje z polskimi słowianofilami, skupionymi koło tygodnika „Zet", wysłuchane były z wielkiem zainteresowaniem."

Należy stwierdzić z całym naciskiem, że słowa p. Jiraskowej-Peskowej, wskazują Czechosłowacji jedyną drogę, na której może ona spełnić swą misję historyczną, w ścisłej łączności z posłannictwem całej słowiańszczyzny i wszystkich narodów Europy Środkowej. Rywalizacje i niesnaski oddalają nas tylko od tego celu, natomiast *unja absolutna* na zasadzie „wolni z wolnymi i równi z równymi", ugruntowana na jednej idei, stworzyć-by mogła nową epokę w dziejach Europy. Dla tej-to unji i dla takiej idei, Opatrzność powołała do niepodległego bytu wszystkie te państwa, od Bałtyku po Adrjatyk i Morze Czarne, czyniąc je naturalną barjerą pomiędzy faszyzmem i komunizmem, a zarazem potencjałem nowej potęgi duchowej, która — w momencie bankructwa Ligi Narodów — potrafi stworzyć nową konstrukcję ładu moralnego i nowy system pokoju światowego. Narody i państwa Europy Środkowej, słabe każdy zosobna i podatne na obce wpływy, w jedności ustanowić mogą siłę niezwyciężoną. Gdy mocarstwa zachodnie nie umiały dać pokoju Europie, gdy czerwony Wschód grozi rozpętaniem nowej rewolucyjnej pożogi, przyszedł czas na czyn zbiorowy narodów słowiańskich, wspomaganych przez inne, bałtyckie i naddunajskie państwa tej części Europy.

Nazwisko i idea uniwersalna Hoene-Wrońskiego, myśliciela, w którego żyłach płynęła w równej mierze krew polska i czeska, stać się powinno symbolem i sztandarem tej unji wolnych i równych, której stworzenie jest naszem nieodwołalnem posłannictwem historycznem.

Tych, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za 1 kwartał V r. wydawniczego, prosimy o jaknajrychlejszą wpłatę należnej sumy na konto P. K. O. Warszawa 153,210.

Z wydawnictw katolickich

Józef Serre: Naścieżaj. Próba metody pogodzenia powszechnego i całkowitego poznania. Przekład Anny Szottowej. 192 str. Księgarnia św. Wojciecha.

Podtytuł zapowiada bardzo dużo. Książka — jak też było do przewidzenia — daje o wiele mniej. A jednak jest to rzecz piękna i rozumna, po której przeczytaniu żałujemy, że Józef Serre, współczesny myśliciel francuski, zupełnie jest u nas nieznany.

Idea przewodnia jego metody, niezmiernie naiwna na pierwszy rzut oka, po dokładniejszem rozpatrzeniu przestaje się taką wydawać, okazując nam i swą płodność i swą zdatność do dalszych rozwinięć. Na czemże ona polega? Poprostu na tem: Wszystkie dotychczasowe wielkie systematy filozoficzne i religijne mają słuszność w tem, co w nich pozytywne, afirmujące, dodatnie; wszystkie są mylne w tem, co w nich negatywne, zaprzeczne, ujemne. Aby więc zdobyć prawdę całkowitą, trzeba „wyłączyć wszystkie wyłączenia", ograniczenia, zacieśnienia; wtedy wyjdzie na jaw, że wszelkie przeciwieństwa (duch — materja, transcendencja — immanencja i t. d. i t. d.) nietylko się nie wyłączają, lecz postulują się nawzajem w sposób konieczny. Autor ostrzega nader słusznie, byśmy się nie dali złudzić pozorom gramatycznym: gramatyczne bowiem twierdzenie jest nieraz treściowem przeczeniem i naodwrót.

Głęboko prawdziwa ta idea jest bez żadnego porównania pełniej zrealizowana w filozofji Wrońskiego, która dotarła do samej przeistoty wszelkiego możliwego dualizmu i do jego identyfikacji we wspólnej zasadzie absolutnej.

Metodzie zaś Serre'a co trzeba zarzucić?

Przedewszystkiem i nadewszystko, że jest ona bądź co bądź zdobyta w drodze empirycznej, nie rodzi siebie sama, korzysta z gotowego. Rzecz jasna bowiem, że wspomniane wielkie systematy musiały osiągać swe pozytywne prawdy mocą zgoła innej metody, która była zawsze — explicite czy implicite — transcendencją naszej wiedzy, boć i sama prawda nie może być niczem innem, tylko absolutną zgodnością rozumu z samym sobą. — Stąd wyłania się [illegible] rzut: Aby uznać, że w danym systemacie coś jest istotnie (nie zaś tylko gramatycznie) pozytywne, trzeba mieć zgóry niezawodne kryterjum prawdy; czego metoda Serre'a dać oczywiście nie może. To też dogmatyzm, choć wcale głęboko utajony, tkwi w tej nauce niemniej przeto.

U tak przenikliwego myśliciela dziwi też dość powierzchowne ujęcie problematu Zła — a dziwi tem bardziej, że w jednem miejscu sam autor podchodzi blisko do jego rozwiązania. Oto jest to piękne miejsce: „Dobro — to pragnienie Bytu. Zło — to głód Nicości. Nasycenie tego głodu — to piekło. Zaspokojenie tego pragnienia — to raj".

Doskonałe są uwagi autora o sceptycyźmie; na ten temat rozumuje on podobnie jak Lagneau — a ja takie zestawienie poczytuję za zaszczytne dla każdego myśliciela.

Swój sąd o tej dobrej i mądrej książce streściłbym tak: Nie każdego ona przekona, gdyż jeszcze brak jej podstaw *absolutnych*. Ale dla każdego będzie pożyteczna — bądź jako drogowskaz ku wyższym prawdom, bądź jako bodziec do dalszych samodzielnych poszukiwań.

Przekład p. Szottowej bardzo dobry.

Cz. J. K.

Srebrna waga

Rzadko spotykaną rzetelnością nacechowany jest stosunek *Marjana Piechala* do jego twórczości poetyckiej. Świeżo wydany tom wierszy *Srebrna waga* (nakładem Wydawnictwa J. Mortkowicza T-wa Wyd. w Warszawie) jest tego najoczywistszym dowodem. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, iż tom ten powstał z gorącej wewnętrznej pasji twórczej i znajduje pełnowartościowy odpowiednik, powiedziałbym pokrycie, w bogatym świecie przeżyć wewnętrznych autora, jego myśli i koncepcyj ważkich treściowo, dociekliwych. Twórczość swą Piechal przeżywa, przeżywa dogłębnie, jest poetą naprawdę gorączkowych poszukiwań.

Szukam prawdy naszego wzruszenia
pod warstwą każdego dnia —
prawda przeczuciami bez imienia
wybucha ze mnie jak z pnia.

Skrystalizowany pion ideo-moralny nie wyklucza antynomialnego rozdarcia wewnętrznego poety, rozdarcie to spotyka się jednak z energicznym protestem śmiałej jego myśli, bynajmniej nie kapitulującej w swej natarczywej pogoni i ograniczyć się musi do roli czynnika, raczej współczynnika, komplikacji estetycznej jego *życia* jak i twórczości. Nawiasem zauważę, że w tomiku napotykamy kilka stwierdzeń wyglądających na zupełnie samorodne, a posiadających swego rodzaju objektywną wartość filozoficzną.

Forma poezyj Piechala nie jest jednolita. Odróżnić tu trzeba kwestję strofy, rytmu i grafiki wiersza od metafory. Strofę rozwiązuje ogromnie konserwatywnie, bez żadnych na tem polu prób wynalazczości. Regularny czterowiersz to forma wszystkich utworów tomu, dwa — trzy wyjątki nie wchodzą tu w rachubę. Czterowiersze te są pod wszystkiemi względami bardzo zbliżone do siebie (stale typ a b a b) i mimo znacznej swej doskonałości wewnętrznej — po dłuższem czytaniu stanowczo nużą. Rytmicznie wiersz jest płynny i szeroko rozbudowany (brak pewnej oszczędności, kondensacji słowa!). Rym pełny, a niedokuczliwy, względnie wyraźny asonans.

Metaforyka w twórczości Piechala jest nie jedynym, a tylko równouprawnionym materjałem poetyckim. Nie grzesząc specjalnie trudnością, rozpiętością, niemniej jest ona wynalazcza, oryginalna, śmiała.

M. Starost.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Redaktor przyjmuje we wtorki od g. 18 — 19, piątki od g. 12 — 13. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.216
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.